SZTVKA TOM II

* DNIA 28 SIERPNIA 1911 ROKU ZMARŁ W WARSZAWIE POETA ZYGMUNT ZENON IDZIKOWSKI W 27 LECIE OFIARNEGO DLA SZTUKI POLSKIEJ ŻYWOTA... CORAZ GORĘCEJ BIJĄCE I GÓRNIEJ, MISTYCZNE SKARBÓW ROSNĄCEJ DUSZY ŹRÓDŁO, SERCE DUMNE ŻYĆ PRZESTAŁO... RZUCONE DARY, ONĄ DOPIERO ZAPOWIEDŹ CUDOWNĄ, A JUŻ PLON MĘZKI, BOGATY, SŁONECZNY, CO ODCHODZĄC NIEZNANY, SAMOTNY TWÓRCA ZOSTAWIŁ W PUŚCIŹNIE, TE KRÓLEWSKIEGO DUCHA RELIKWJE PODEJMUJEMY DZIŚ NA NIEŚMIERTELNY W DUCHÓW OBCOWANIU ŻYWOT.


ŻENON
1884—1911

POEZJE ZYGMUNTA ZENONA IDZIKOWSKIEGO

GROBOWIEC.

W marmurach ogród
i w złotych roztryskach
słońca —
Czar-ogród — —

Echa zbrój —
ostatnim drżące szczękiem
o sarkofagi — —
miecze w skrzydlatych błyskach —
tęczne buławy — —
jako błyskawic upał skrawy —
łuna koron — —
I czarny aksamitu znój
ksień — które żałobność biorą
gwiazd
i lodowcowy śpiew miesiąca —
pań idących przez kwietnianą mękę — —

Śnieżne — brylantowe sagi — —

Przez on próg — ciemny płast —
gdzie liść się piętrzy bluszczowy —
gdzie lilje w zimnym srebrze —
dziecko weszło:
rozsypuję kiście różane — różowe —
opal świtowy —
konwalji lód — róż słońce —
wir maku najgorętszy — — —

Lecz mówię: niech nikt nie żebrze
duszą zamierzchłą
tych Cichych o mowę — — —
niech śpią Śpiące.

A chciałbym spoić —
jąć w płomień rozpełzłe cienie
koron — wstęg —
buzdyganów i mieczy —
i tę to błyskawicę zdwoić —
i ono słońce cisnąć w sklepień kręg —
ażby rozprysło sklepienie
i grób światłem pękł — —
w jasność Nowych Rzeczy.

SŁONECZNY ODNOWCA.

Są w duszy wielkie jutra malowidła
i zadziwienie smutkiem duszy bywa:

trzeba rozpostrzeć tak przeczuwań skrzydła —
by niespodziane umarło zażywa — —
a zaś istotne w duchu się rozdrgało
najmniejszym jutra lecącego tonem — —
jak zegarowe niechaj będzie działo
i gdy świt płonie — niech uderza: płonę — —

Czasem wybiegnie przeciw — nim kto pojmie
i nuż kamieńmi tłum wita wędrowca —
który ma w sobie skrzydlatą rękojmię
słów twórczych — czynów blizkich — —
SŁONECZNY ODNOWCA — —

POD WIATR...

O jak rozkosznie płynąć pod wiatr — —
szaleństwem pędu rozbłyskana
pierś nabrzmiewa —
a ramion opór w skrzydłach stawa. — —

Zwycięstwo albo śmierć — — Bez wiana
miecz zaciska w rękach Hardość krwawa
i patrzy — jak na fale padła cicho mewa. — —

O jak rozkosznie płynąć pod wiatr. — —
Przeminie wiek i w wiek igrzyska
biegną człecze
i bije u wieczności wrót Tęsknica —
a gdy skroś dale gwiazd wytryska —
boskością purpur kładzie się na lica
i twórcze pomazuje miecze. — —

OLBRZYM.

Idę w zaranny świt
i uśmiecham się słońcu —
Tuli mi oczy chore —
zda się spłakane — —
a radują się woni —
która migotliwie
śpiewa w pylącym z borów gwiazd
igliwie —
w tęczy świecących błoni — — —

Płonę. Czuję jak skore
rwą mi się w skrzydłach stopy — —

Rozpękł na piersi łachman-wstyd —
uwiądł chwast
we który skronie opasane —
Biegnę — — miłośny słońcu —
pod świateł stropy — —
Godziny mi się zdają
chórami wód —
Łodzie z nich biją śniade —
ogienne — — tęcze wodospadowe —
tlejącym spodobione gajom — —
dymiącym runiom — —
łamanym krom — —

I wiem — i na pierś kładę
drżącą uśmiechami głowę — —
i wiem że we mnie się łunią
Sny — —

Królu — Królu Władyko —
Królestwa ci się śnią —

W dworce tęczowe roztoczy —
ku basztom mgłom —
na murowe gaje — —
w mój — mój Gród — —

— Białe mi usta drżą —
ciemnieją oczy — —

We świtające uchodzę ścieżaje
duszą najświętszą
i czującą wschód
sklepień — —
Idę ku wnętrzom
miłosnych wiosny rozszczepień —
wodom grającym ślub —
ku wiatrowym wiejom —
które nie znają kamiennych stóp —

Tam — u szczytu skalisty splot — —
podobny smokowi —
stułbiej paszczęce — —
unoszę młot — —
i jęk — — Głaz cudownie się połowi —
Istność — — ciało — —

O — chwało —

Przez Miłość wszystką — przez śmiertelne śnicie
wyciągam k'tobie ręce —
ręce królewskie
Życie.



ROZMOWA.

Boisz się panie — cofasz jak przed śmiercią?
Radośnie słyszeć — Duch twój — niby węże
lęka się mienić skórę —
a to — że się lęka
może gdy sięgnie — piramid dosięże
pojrzeć sfinksowi w kamienny ślep!
Dzisiaj gęsim wodzi piórem
w ciemnym lesie od sęka do sęka —
ale słoneczną nie przelata percią —
obcy mu wichrowaty step —

Mów — że się mylę — mów — — Z wieży
której ci straszno
rzucam wyzwanie : czyń spowiedź — —
mów — ty miłujesz? — Życie ci ubieży
nad drukiem — formą tchnień rubaszną —
—będzie twe serce bez kochania płowieć — —

A ona — zwą oschle — Sztuka —
ma skronie męskie i oczy dzieciny — —
— — Może poweźmie ciebie za pajuka —
żebyś północą zrywał jej jaśminy —
— może jak piorun — co piorunu szuka
błyskawicowe skrzesze w tobie czyny — — —

ZRÓDŁO.

Pragnę — W żarze
krew moja staje się żałobą —
Lękam się włosów tknąć —
że błysną —
Od źrenic mych cień krwisty.
Pustyń przedemną blask — —
Pragnę. Nie czując nóg —
wlekę się równy rozżagwionym grobom —
o kropli słodkiej marzę — —

I tak uniosłem skroń wisną:
bije zdrój — — Chcę pieśnić i kląć
i przypaść ku kamieniom zapadniętym wpłask —
skąd mi wytrysnął bóg
świetlisty — —
ale zlękniony przystaję u brzeża —
że krwią uderza.

Ciemno. Nie pomnę. A we śnie czy w śmierci
widziałem orła gon
z wiatrami u skalnej perci — —
Niósł małe dzieciątko — —

W echach się cucę — — Błyszczy czas — —
tęcze w nizinach lazurowych legą —
w strumieniach — kwiatach — —

w obliczu moim wije się kropel szron —
Krople — górskim równe śniegom
i przenajświtszym grom na błękitnyc hczatach —
chłonę — pełznę cicho — płaz —
myśląc o boskich — które stworzę — Światach.

LILIPUTY.

Jest ponad wszystkim bezgraniczność
powietrznej oddali —
jakaś cudowna dziedziczność
jest w nas — —
Bogowie jesteśmy — pełni orłowych skaz —
ale w bogactwie swym — mali.

Guliwerze śmieszny — złośliwy —
mądry Guliwerze —
wszak nie smutne nasze niwy
i miód? —
Jeszcze w Tatrach — (sepleni niewolniczy lud)
jeszcze w Tatrach śpią rycerze — —

DUCH Z POLSKI.

Mieć chciałbym różę złotą —
złocistą
i w srebrny spowiłbym ją szal — —
gdy te promienie z jej się splotą
jaśnieniem w brokatowy szal —
zwiędnie — jak róża — śpiewne motto:
Złocistą
mieć chciałbym różę złotą — —

Dalej i szczytniej — zawierz lotom
artysto — —
wszak Damajanti opuścił Nal:
miłości zaczerpnął tęsknotą — —
wszak Damajanti opuścił Nal
i ku królewskim przybiegł wrotom — —
Artysto —
dalej i szczytniej — — zawierz lotom —

. . . .

— — A tu cudowne twórców dusze
ku zachodowi od was patrzą
i twarzą zbładszą
powstają cicho — — jak z uśmiechem — —
Odchodzą cudne twórców dusze —
swojską za sobą paląc strzechę — —

Młodości — rozszczep twarde serca —
bo ty jedyna z ognia mocy —
a dziś — jak o północy
nietoperze — ulatasz przez ciemność —
O przełam — jako chleb — twarde serca —
ten twardy polski chleb — — — —

WIELKODĄB.

Żylaste potworne bary
i łeb zarosły siwizną
lat
i nieobjęty tułów
nad rozbiegłemi wkrąg pędami łap —

Bożku stary —
rzeźbioną kory twej krzywizną
idzie ślad
królewskiej dostojnej głowy —
a z mchu złotego namułów
błyska miecz górny słonecznych szczap —

Że się nie każdy zatrzyma —
pomodli
i że nie każdy uwierzy — —

wolicie ojczyma
podli —
niźli puściznę słowiańskich rycerzy — —

W PÓŁNOC DOBREGO POŁOWU.

Nie mieć nikogo w taką noc miesięczną
o jakże smutnie i jako cudownie — —
choć tak się marzy melodję spółdźwięczną —
parzą się wzajem przybliżone głownie — —
O — słodko chodzić w tę śnieżną warownię
i między straże gwiazd samemu — zbrojno —
niż mieć na rękach czyjąś duszę znojną
i być znużonym podróżą niezręczną —

Niech śpi — kamieniem taką noc przeżywa
i księżycowych nie wypije źródeł —
a czyja dusza ocknie się szczęśliwa —
drgnie i z skrzydlatych porywa się szczudeł
i nie uczuwa już zwierzęcych kudeł —
jeno obleka zbroicę — miecz ściska
i na zaśnione ludzkie kretowiska
żar niesie — ogień — — pali nory mściwa —

— Jest w Polsce wiara w czyn — i nieśmiertelnie
w słowo zaklęła się piorunne — i tak waży —
że od zbytku marzenia upuściła kielnię — —
Jesteśmy dzieci wieków — szalonych żeglarzy:
między słowem a czynem przepływamy starzy...
Słów iskry palą łodzie — toniemy na fali —
gdy innym to nasze szaleństwo się pali
jak latarnia — — Słoneczną tworzymy pustelnię —

...ACH JAKIE RÓŻNE MYŚLI

Ach jakie różne myśli — nie podobne — —
niby z dwuch urn wyjęte słów wyrocznie:
ty ptak szalony — co dzisiaj nie spocznie —
ja uśmiechnięty — jak lampy nadgrobne — —

i w tym trzepocie skrzydeł i w uśmiechu
jest zbytek pewnej ostrości wyrazu:
ja moc ważący nad przepaścią głazu —
ty na wichurze w dygocie pośpiechu — —

A jednak jest w nas niewiara w ciąg dalszy
tej tragiczności myśli rozdwojenia —

i znów przyjdziemy do urn i odmienia
ten wieszczbę jutra — kto — — żyć doskonalszy.

SPOTKANEMU.

Na mgnienie odrzuć cokolwiek jest z bytu
zaułków — małych szyb — startych miedziaków —
i — okręt wolny — żegluj śród błękitu
i migocących na niebiosach ptaków —
śród bzów niebieskich i lila zakwitu —
pośród czeremchy gwiaździstych hamaków.

Jeśli nieszczęście ciąga cię za włosy —
że nigdzie miejsca nie znajdziesz bez smętu —
stań się choć chwilę — niby kropla rosy —
co tak z bzowego zczerniałego prętu
na kwiat wybiegła i w sobie niebiosy
zamyka ciche — jak lustro odmętu.

WYLOT.

Pośród słów wybieraj ostrożnie
albo raczej nieś błyskawicę —
i tylko zdala
wsłuchuj się w melodję zdań.
Niech cię nie dotyka —
jak listki brzóz —
niechaj jak kamień rysą cię nie porżnie —
ale omijaj ulicę —
gdzie się nie utrwala
nic — jak cisza księżycowych sań — —

Z rąk ulicznika
padają fjołki nieświeże
i ukłon nikczemnego lokaja —
który się śmieje w drzwiach — —

. . . .

Nad miastem noc gwiazdami spaja
szafirowy głębin dach
i w gwiazdach drżą miejskie wieże — —

...UCZYŃCIE JAKO SŁOŃCE

Uczyńcie jako słońce serce wasze:
niech bije żarem i uśmiechem razem —
niech będzie jako śródweselne czasze
i na kurhanie płaczącym żelazem —
wieścią i trwogą — szczękiem i luteńką — —

Jeśli kochacie — — szkarłat wasz królewski
niechaj zaszumi pod zbrodniarza ręką —
jako różańca w kąt ciśnięte łezki — —

Bo w życiu trzeba rzucać kość niedbale —
a silną ręką — niechcący a wprawnie — —
i nizać serca swojego korale
napół ze smutkiem i napół zabawnie — —
i żarem płonąć i uśmiechem razem — —

— — Panem być życia i onym rozkazem
jak miecz ukryty — nie wiesz gdy uderzy —
wieścią i ciszą zamorskich wybrzeży — —



COŚ NIEPOKOJĄCEGO.

Wierzby ocięte — z gęstwiny głowy
leśnych dziwolągów —
brzozy — jak topielice
o zrosłych rzęsą szmaragdową kosach —
jałowce karły
śmiejące się w snach — —

I w białym dymie słonecznym widmowy
orszak śniegowych karoc posągów:
w ich złotych lustrach róże
i luster innych lice
i lampy śnieżne w błyszczących rosach —
Cień tu żadnej z was choć zmarłej
czyniącej podróże —
o żadnej z was — niewidome w snach — —

Bezludny orszak — lustra samotne —
nikomu nie podawane róże
i lampy was nie całujące — —
ścieżki psotne
rozbiegłe w słońce.

ORZEŁ.

Kiedy w miesiącu zakwita
gród ścianami śniegu —
wiszą płaszczyzny lawicowe
w ciemnościach miasta
i milczą inne ścian kadłuby
pomroczone
w szczytnym strzelistym biegu.

Łamią się mury —
(cień w światło wrasta)
i patrzy — patrzy cisza wryta —
jasną uniósłszy głowę — —

. . . .

Wyszedłem z wieczora
na łęg — —
biły już mgły sinawe —
pełne miesięcznych pręg — —

Rzutem stóp
ciskałem rośnym zmierzchowym dżdżem
z kwiatów i traw
po trawach — kwiatach —

— — Niemasz upiora
pośród zamkowych naw —

Chmurnieją oczy — porażone w słup —
biegną skroś nawę
szalonym tchem —
u odrzwi stają na czatach — —

. . . .

Hej — grzmijcie trąby — — —

Wzywam was
na sąd — na sąd — —
Okrążcie dziedzińców klomby —
komnat zbudźcie sklepy — —
ocućcie mur — ocućcie głaz —
od podwalin po słoneczny gont — —
wasz król — wasz pan — wasz kat —
o czatujące cienie —
mściwy — ślepy — — —

Ale odganiam zmorę — —
i w nieskończone uchodzę pustynie — —
Królestwo moje ninie
nie w zamkach — nie w grodach obiorę —

O nieskończone — nieskończone stepy —

PRAGNIENIE.

Woniami srebrnemi
stąpa mi naprzeciw
miesiąc senny —
Chwytam zapach —
jak krople gwiazd opadu —
i czynię z cichych — brylantowych nieciw
z djamentowego śladu —
który chwytam —
mgły wędrujące po stepowej ziemi.

A we świecących miesięcznie pułapach —
mgławych namiotach —
kotarach mlecznych
szmery cieniste chodzą znikomie — —
kurhanowych zwieszczeń
cienie — —

Żaru — Skier — Płomieni!..
Najniklejsze płomię
pustkowia łunami zrumieni.
Nie wydrze się nikt — — Schwytam — —
Czuję pragnienie — —

Śnię o morskich zawiejach słonecznych —
o tych łamiących dno łoskotach —
i tam —

i tam oddychająca wichrem przestrzeń —
Jak cicho stąpają płomienie — —

SŁYCHAĆ ZEW TRĄB.

Na świt — — Na nów — —

Obróćcie burzany różowe źrenice
kwiatów —
obróćcie krwiste od łysku ręce — liście — —
Ty — szary zogniony piachu
rozłup pierś — jak głąb
wulkanicznego gmachu —

Słychać rzężenia tchów —
słychać szczerbione przyłbice
i karabel kiście
łamane w brzaskach światów — —
słychać zew trąb — —
Na świt — — Na nów — —

Rycerny duch pije Tęsknicę.

KLAMRA.

Nie odwracając twarzy
która odblaskiem turni
odblaskiem regli
się jarzy — —
widzę ciągnących pługi jasne —
podźwigujących taran
ku szczytom — —

Hej — wy — kopacze chmurni —
wnętrza ziemi zwycięzcy —
nurkowie biegli —
łamcie tę ziemię wrytą:
niech skarby sypie krasne — —
ale przenigdy i niedość mąk —
i dzień wasz skaran —
gdybyście chcieli jąć
to moje rubinowe serce — —
ciąć —

Wy radośni — wy męscy —
wy piękni —
nigdy — — słyszycie — nigdy!

Na rubieżach światów
w mumjach Babilonu —
w Olimpu ogniach i na Cheronei —

w krzyżach niesionych snom
i w snach kwitnących stosów łuną —
poprzez męczarnie i poprzez morderce —
skroś modły tych — co lękni
i tych — gardzących ciszą skonu — —
nigdy.

A w skrach księżycowej dali —
w złomach lodowców — prakwiatów —
w łunach nadziei
zamknione to moje rubinowe serce — —

Oto czuwam —
z twarzą od was zwróconą mówię piorunom —
jak wy górom — lwom —

Świetleje ku wam
moje rubinowe serce — — —

OSSA INNOMINATA.

Skroś szyb matowość —
mroźnym zeszłą kwiatem —
pada z głębokich okien na framugi
uśmiech śniegu — —

to przenajdroższe światło
na twarz moją uśnioną —
na ócz bezsenność.

Idę w tych gór surowość
w promienność —
rzucającą zaskórną poświatę — —
Idę cień wielki — długi
ciągłością biegu —
w za tło
ujrzanych — niezwyciężonych dotąd gór —
i dłonie mi płoną. —

O Dniu — ty wieczny — ty możny —
Twórco —
twych źródeł nie zbezczeszczę:
uczynię śpiewającą zorzą
te fale wieszcze —
co jako lwy u stóp mi się położą — —
. . . .

A niedaleki trud mój drożny —
bo mija każda z pór
wieczności — —
i pozostanie ten pył drożny — —

NAWIEDZENIE.

Wązkiemi uliczkami — niby fos
galerją tajemniczą —
do ciebie przyjacielu iść
o takim mglistym jesiennym wieczorze —
kiedy złociście gaz
leciuchny rozpościera włos —
śród małych sadów przywiędłych goryczą —
gdzie na zczerniałej od dymów korze
drobny zawisa liść — —

. . . .

— Cały ty jesteś z tych lazurów —
co pełnią nad tobą straż —
mnie znużonemu w śmiertelnej podróży
śniący się niby krzew dzikiej róży —

— Rozsyp mi perły nierozplątanych sznurow —
perły różane —
z kamiennej sktzyni dobywaj świętości — —
nasyć się ze mną radości —
że są na świecie drogi niedeptane — —

ECHO.

Jest w głębi parku zawodzące drzewo —
ledwie wyraźny — przytłumiony jęk —
niby z kaplicy opuszczonej wnęk
głos przypomnienia — —

smutnie jest stanąć pod tą sinobrewą
jodłą
i serce mieć pełne promienia — —
co uśmiech daje tym zaklętym modłom — —

Jeśli tam dusza zmarłych się odzywa —
słodko — że duszę można tak położyć
w rosnącą radość ziemi i w niej ożyć

i stać się niby cień
ostatniej myśli czy wiecznego dziwa
z wczora — —
albo też echem krwawych drżeń —
któremi kiedyś biła dusza chora — —

O polskie drzewa — co wyście widziały —
coście przeżyły nieugasłych czuć —

dziś jeno pieśni starodawne rzuć
między gałęzie —
dziś jeno pień ten obejmij omszały
ramieniem — —

zadrżą i cichość scałuje te więzie —
które jękliwie żyją przypomnieniem...

STARY PARK.

Na kolumnach srebra ściemnionego i agatu
dach gęsty
koron wiekowych —
mrok tu wieczny
i bój o rąb światła — o przestrzeni rąb
niodosłyszany światu —
Gałązek uschłych szeptane chrzęsty
w majestatycznych alej głąb —
w dal szyb lazurowych — witraż słoneczny —

Kochankowie — którym sen się pali
na oczach —
wzięli stawu rzęsnego mokrą łódź —
potonęli w trujących kaczeńcach — —
a w księżycu w śniegowych przezroczach —
niby w marmurowej sali —
przechodzą — — „Śmierci uśmiech rzuć“ — —
„Całą widzę cię w śmierci rumieńcach“.

ZAMEK.

Las — w którym zdala
szereg jaśnieje naw
szkarłatnych
i w górze lamp girlanda się rozpala
zachodnia — —
Z upadłych pni — jak z ław
spełzają żmij brunatnych
cienie
i patrzy rdzawym okiem leśny staw —
opuszcza się głębiej co dnia
w rzęch zgniliska —
To są starego boru tajne sienie —
gdzie zdradą gaśnie sosna jak pochodnia
i zwierz — co się nie wstrzyma zblizka — —
Roślinność sinych jadów —
wyziew chłodny u zarosłego topieliska
i świegot ptaków skroś chłód i zniszczenie
w łunie zachodu — —
Jest chwila świateł opadów
i złoto-czarny szkielet błyska
w ćmie bezdennego chłodu —

. . . .

Ptaszyny nucą zapomnienie — —

TRYPTYK.

GOBELIN I.

Między borami ziemi białoruskiej
w cienistym dworze
pomnisz komnatę wiśniową —
pełną japońskich dziw?

Miecze srebrzystej łuski
na stubarwnym wiszące potworze
i owo
nizkie — skórzane łoże
z szalem nad sobą — jak skrzydlaty gryf —
Czarne w złotych liściach szafki
rzeźbionych maleństw — —
półki — jak smukłe — irysowe plamy — —
Z czerwonej skrzyni — jak z czarownej bramy —
widać kimona — kobiece zabawki —
myśli kobiecych — ukochanych szaleństw — —

Pomnisz — — nadeszłeś w słoneczny czas
w pustkę szkarłatną:

— Ach to więzienie — nie wschodnia komnata —
Tu polskich maków krasnych natną
do japońskich waz —
lecz nie przypomną tam zza morza lata — —

GOBELIN II.

Tam w wioskowych opłotkach i kwitnących sadach
opadał kurz — cuganty przysiadły na zadach
i w pojazdowym koszu — w złotym tulipanie —
niby róże wiosenne — błyszczą jasne panie — —
barwny za niemi motyl — jasny pan wielmożny — —

Wybiega przeciw matuś na ten wygon drożny
i maleństwo we zgrzebnej — szarej koszulinie
podaje jaśnie państwu — jak złotą brzoskwinię —
— O ty słodka biedoto — myślą piękne panie —
cóż tobie za tę jasność — za bogactwo stanie?
Dziedzic myśli: — Ho będzie parobczak nielada — —
Voilà l'amour — les déesses — — polska olimpjada —

I pierzchnęły cuganty — kurz w słońcu się bieli — —
Stoi matuś — jakoby u białej kądzieli —
na jej rękach dzieciątko i uśmiechy słońca — —
O Madonno wioskowa — cudnie się modląca:
— Naści serce maluchny — matczyne kochanie —
cóż za tę serca jasność — za bogactwo stanie? —

GOBELIN III.

Cichy kropel płacz
w podeszczowy wieczór — —
na tarasie zamkowym stanęło jezioro —

szyba nieruchoma —
ale nikt się nie przejrzał w ten wieczór — —
gwiazd puhary stąd odbicie biorą —
ale nikt się nie przejrzał w on wieczór — — —

O ty głazie tarasowy znacz —
że tu głębia niebios jest widoma —
ale nikt się nie przejrzał w ten wieczór — — —

Ślepy wieje z oddalenia chłód —
z parkowego — czarnego jeziora —
zimny całunek daje — — —
Kto cię tak całował wczora —
kto będzie kłamał w rozkochaniu?
Od zamkowych — rozchylonych wrót
nienawistne idą twe lokaje:
każdy szybę zmącił — butem zgniótł — —

Melancholja — mistrzu — w panowaniu — —



RÓŻA PRZECZYSTA.

Niema zapachu — gdzie ciepło odjęto —
niema słodyczy — gdzie słońce nie zaróżowia wnętrz —
ale w jesienne dobrotliwe święto
któż cię nie kocha — kiedy zimną zrywa — —

W twej rosie chłodnej bez iskier ogniwa
gronostaj — który zdarłaś czy ci ściągnięto — —
Kapłanko śnieżna — kto ciebie odrzeka się dziś wręcz
duszę ma ślepą lub robactwem zdjętą — —

Piękności czerpać — ach czerpać bez miary —
bez granic: szlak ciosa myśl — jak błyskawicowy miecz —
Biada powracać wstecz
i pić z satyra wyszczerbionej czary —

BALLADA.

Na moim stole bzu wonne gałązki —
niby liljowe pióropusze cieni — —
tak kochankowie trwają przytuleni —
jak ja — cień smutny — i słodkie gałązki — —
Więc mię całują westchnieniem zapachu
i jestem pełen radosnego strachu —
że mię całują bzu wonne gałązki — —

Niech mi kto powie — że ta okiść lila
nie jest zaklętą duszą zalotnicy
tańczącej w słońcu u złotej krynicy — —
O pani cudna — pani bzowo-lila
z srebrzystą łuską u sennej powieki —
twój taniec słodki i radośnie lekki
i uśmiech rzuca — bez puszysto — lila.

Może na świecie gdzie w jakowejś stronie
była dziewczyna Lila ukochana
i gdy zakwitła majowego rana
zgasła pod lato w północ w jakiejś stronie
i wtedy całą noc — jak była biała
słowicza tęskność ponad nią płakała —
aż zakwitł cicho lila kwiat na stronie — —

Już może pamięć tego nie przypomni —
czemu odeszła z tego świata Lila —
lecz przecież wszystko gaśnie niby chwila —
czemu? nie pyta nikt i nie przypomni — —
Tylko poetom coś się śni i marzy
i chodzą niby opodal cmentarzy — —
Lila się w kwiecie całunkiem przypomni —



KOCHANCE NARCYZÓW.

Radośnie umierać na zwiesnę — —

Cienie — światła — — równe ptakom —
przelatującym ocean
niepewności — —
skrzydła mają bezkresne —
a lotność taką —
że jakby w porankowej nucą roślinności
o śmierci pean — — —
jakby biorą na pióra duszę świata:
radość wszystką i wszystko znużenie —
i stają się — jako makata —
wszechbarw łącząca promienie.

Śnią wszystkie:
te słodkie — osikowe — drobnolistkie — —
oczy dziecin z nad rzeczułek leśnych — —
te różane jabłoni
w kwitnących o południu wiosennym sadach —
i te na urwisku
w krzesanicach burnych — smreku — —

Hej — hej — — idziemy z Poczesnych
idziemy z Dumnych —
z onych — co ból ich nie kłoni —
jak kłosy w gromadach — —

jeno się dojrzą w własnym błysku
i krzyczą w świat: — człowieku —
gdzież pęta dla Duchów Bezrozumnych — —

Żyj — pókiś wolny —
pókiś młody
i bądź życia królem —
a gdy umierać zechcesz — Wietrze Polny —
sam sobie narzuć śmiertelną koszulę
z bieluniu — z tojadu —
z ostromlecza śladu — —
ze ziół śmiertnej wody — —
z rosy zachodu —

Weselnie umrzeć na wiosnę — zamłodu — —

PERŁA.

Podnoszę skroń — — w okienic
niedojrzane szczeliny
bije modrość ranna —
jak w pomrok starczych źrenic
u słonecznej cembrowiny
liljowa Zuzanna — —

O ty mała — maleńka
perełko z fal strząśniona szalu — —
z Neptunowego dzbana — —
nigdy nie zamkniesz się w koralu —
lecz pryśniesz zcałowana
zbyt lekka i zbyt cienka — —

Ta cudowna matowość
królewskiego zwierciadła
i ciał tańczących różowość
co do nóg ci padła...

SZELEST AKACJOWY.

Grona perłowe
złocistych wnętrz
kiść chylą rozpachnioną
w rzęsy ogniste słońca — co się stacza —
jakby przystaje —
na drzewach zorznych paląc głowę — —

I chwila —
nieodgadniona wręcz —
kiedy te kiście różane zausznice płoną

u słońca — co się stacza —
jakby przystaje —
na drzewach zorznych paląc głowę — —

Tancerka złota w ogniach czoło schyla — —

Drżenie słodkie i blade dłonie tęcz
nad drogą odymioną —
a z konturu maleńkiego kwiatu
łabędź się cieni bladego wieczora —
w sitowia płynie szafirowe — —

Kto się dziś pora
ze snem? — — zbytni wielkiemu światu — —

czasem jak dziecko uchwyci motyla — —

. . . .

CZEŚĆ.

Na białej ścianie
wachlarz odsłonecznionych liści —
a od szyb
pylna wstęga słońca

i u srebrnego pióra
motyl błysku śni — —

Szemrzą łąkowe zdroje
niesłychanie —
płonące najogniściej
w skrętach lip —
a każda z ścieżyn gorejąca —
wierzcie — dostojna córa
ludzkiej łzy —

I cóż stanie
za krwawiącą mękę —
która okrywa rosą cichą
krzyk lica — —
Są łzy nadludzkie — wiecie — krychą
śmiertelną łamiące usta —
co biły pięknym słonecznym dźwiękiem — —

Nie każda napierśnica
krwi pełna — nie każda pusta
i łza nie każda zwisłą całuje rękę — —

SKARB.

Przez szczelinę słoneczną
patrzyć w migotliwy upał —
w białe topniejące złoto
piór — rozpędzonego konia — —
Nie kreślić drogę wsteczną —
którą na wichrze
gwiazd rozłupał —
lecz porwać się całą istotą
i runąć w złotą grzywę piór
rozpędzonego konia — —
Gwiazdy będą od lilji bledsze —
aż jak lilje się rozczerwienią
i obłoki cichsze
od nocy —
aż zemkną się bramami chmur
i skwarną niebios sienią
gonić będą rozpędzonego konia
błyskawic rycerze złotolocy
i ozwie się gromu spór — —

Znikną — i słychać jakiś szloch tłumny —
echo — i wieje okrucieństwo łez. Przestrzenią
omroczonych gór
widnieje krzyż samotnie dumny — — —

SMREK.

Na pustkowiu — na wykarczowionym hej —
górom gór szumię — —
doliny za nizko — —
— Rozorane przecie ugorzysko —
i śniłem — że wybuchnęło kłosem —
aż ruszyło tu mię
w górze — taki kłos — hej —
chycić chciałem za kosę — —
— Ty się śmiej —

Przecież sypią się wyżyny w piarg —
bez ustania
tron skalny się niży
i coraz po halach gada w burzy
łomów wark
latami — — wiekami — — hej —
od wyży —
— Ty się śmiej — —

Wirch każdy głowę skłania
ze snu wyczerpania —
bo we wnętrzu na proch stlały —
— sypie się proch — —
a jaszczury i czerwie — —
Wicher się zerwie —
do szczętu rozpłuży

nierodzajność ziem — — hej —
by chciały wzrość — —
— Ty się śmiej — —

A jak promienie soch —
głaz kruszą Potoki —
Potoki Jasne — hej —
nieshamowane — rwące — młode
biją w pleśnie i mroki —
we głuchą podziemi włość — —
wróżą Pogodę — —

Hej Potoki — Potoki Jasne — — hej —
— Wicher się zerwie — —

DESZCZ.

Napijcie się kwiaty wązkich balkonów —
do smukłych okien skłońcie
samotne źrenice — —
westchnij mchu pleśny
na framugach zewnętrznych — —
zarumień się opyle
mimolecący — —

Skrzydlatych dzwonów
chwianie się w ulicznym rondzie --
jakieś białych gwiazd mietlice — —
i jeden wielki krzyk bezkreśny
otwierających się bram tęcznych:
pod słońca willę
wjazd kwitnący — —

W pokoju dziecku wił się w oknach ros
jakiś tęczami rozplatany włos — — —

ŚPIEW.

W krańcu osady
jest biały gwarny dom —
jakby się tam roiły owady
cały słoneczny dzień
przy oknach zawartych — —
Ogniste krzaki w ścianach drżą
od złocistych niebiosów
i białe wnętrze kwieci się łuną drżeń
niestartych — —
Smukłe ręce Mełameda
u kędzierzawej brody

i świecą ciemne źrenice
w ekstazie —
Żydziaczki o wrażliwych twarzach —
dziwnych — jak wczesna rezeda —
chwytają na wyprzody
słowa z ust mistrza — jak pętlice —
i jest melodja w lecącym wyrazie
i więcej nic — — W ogniu nauk Mełameda
ofiary palą się na ołtarzach —
a ta najsłodsza modlitwa niewuczana
płacze — jak słowik majowego rana — —

POSPOLITOŚĆ.

W tym wszystkim — co zlata
mimo ucha
najsłodsze milczenie —
i kiedy was się rozumujących słucha
jakby z innego świata
chińskie cienie —
szarańczę
nad przechodniami słońca
po przez wieki — —

. . . .

...Was możnych tyle — my powstańcze
garstki — kolumna zdobywająca
dla was kaleki
jutro — co idzie druzgocącym krokiem —

Któż z was tu dłońmi słaniając powieki —
ujrzy gościniec daleki
krzyżów wstępujących — —
i na obczyźnie minie grób przeokiem —
gdzie polskie serce obłąkańcze
uderza w przystających — — —

SEN.

Nad wodami — nad wodami wielu
błąkała się myśl
w średniowiecznego kastelu
rozsypiskach murów, róż — — w ruinie
błąkała się myśl — —
w tkanej na wnękach pajęczynie — —

I cudowne przeważyła chwile
wędrująca myśl:
Atlantydy słoneczne beryle

i kwitłego ląd wierny onyksu — —
wędrująca myśl:
żegluje po otchłaniach Styxu. — —
. . . .

Żegnaj — nie mogę snu unosić — —
wspomnieniem twa myśl — —
niedość miłować sen — niedosyć —
i wszystkie miniesz drogi wieczne — —
wspomnieniem twa myśl:
czyn mój ściął w tobie skry słoneczne.

Sil się widzieć — — pojrzeniem się osyć — —
Ach, obłąkana myśl:
czemu zsypuję róże na włosy-ć —
na te źrenice uśnieniem mleczne — —
ach, obłąkana myśl:
śmierć dąży poprzez tła bajeczne — — —



STROME PRZEJŚCIA.

I.

Już nie rozrywaj — przyjaciółko słodka —
ciszy —
kryjącej nas kopułą gwiezdną —
niech się dopalą wszystkie sny podniebne —
aż je świt spotka
w modrej ciszy
i pooddaje bledniejącym bezdnom
na jaśń — — wezmą szatki zgrzebne —
nikłe — jak w rosach stokrotka — — —
w rumianej ciszy.

. . . .

Nad niedopitą szklanicą cień smętny
lęku —
jak omdlałość żmii wielocentnej
i jad sączący się po maleńku
z ropnych zielonych ócz — —

Pić! — — — ale pić duszą całą
aż do dna —
skąd gwiazd dyamentowy klucz
jak miecz przygwaździa duszę małą
aż do dna
lęku...

II.

Chwile są jako przemijające słowa
co zda się — dźwięczą jednako —
a ważą
perły w rękach czujnych —
I rozmowa —
dzwonienie pereł —
ciągnie za sobą zawsze jednako
czyn skrzydeł bujnych
i czyn z umalowaną twarzą. —

A między nami tyle
porzuconych bereł —
dźwigniętych i zapadłych
zakwitających w prochach na mogile...

Miłujcie słowo
podróżujące wiosennych obłoków
karawaną widmową
w ciszy słonecznym labiryncie — —

miłując — czyńcie — —

III.

Jest w lesie woda zielona
w szczerbie kamieni
jak w dłoni śniącego olbrzyma
miecz stopiony. —

Mała ikona
słodkiej zieleni —
którą przezrocz trzyma —
jak dzwon w patynie rdzy uśniony.

I leśne ptaki
zlatują nad oko
mszystych kamieni —
i robaczek ladajaki
padnie —
aż się tam głęboko
odcieni
na dnie.

Piją ptaszyny —
motyle przemijające —
ale wyczerpie tylko słońce
skarb szmaragdowej cembrowiny...





„VENUS“. BOTTICELLI.

PIEŚŃ LEANDRA.

Cisza staje się i nieruchomość —
kiedy płynę — —
i wszystkiego wokół nieświadomość
i zabycie —
i niepamięć dziś ni wczora —
a może jutra i wczora pewniej —
a może godzin — bijących teraz czynem —

Nie widzę nic — i tylko gdzieś — wicie
złocą się szuwarne
słońca muzyką —
palącą u skraju wód tysiąc płomieni — —
a brzegu dalekiego szmaragdowa kora — —
ptakowie wybrzeży — śpiewni
żagli słonecznikom —
liściom czółen — wioseł łyskawym trzcinom — —

Tak w siebie garnę
zamarzone tamte brzegi
— we mgle płyną —
lub raczej z siebie biorę
i na dziobie czółna stawię
lampę z nieugaszonych promieni
z rozwitych raz tylko kwiatów — —
— Słyszysz — Hero?

Ach — nad Hellespontu jeziorem
cudownemi wykowałbym ściegi
tam w skałach greckich komnatę —
roztworzoną pawiem
czy usty granatów —
albo ciemnym sadzoną agatem
i różą najróżowszą dolin Kazanliku — —
I przychodziłabyś biegle
— ty czy Ona? —
— co złorzeczę — — głuchnij krzyku — —
— O jakże cudowna — cudowna Pani twoja —
i nie musiałbym piąć się
na przybrzeżne regle —
gorejące słońcem w morzu —
i tu samotnieć na uśpionym mącie
wód — w przestworzu — —
Tam będąc — stal heroja
poiłbym słońcem i czoło nasycił
promieńmi — oczy rozwinął w blask —
orzeł czuwający w skale —
gdy codzień Eos rozwija palców róże —
i patrz — — za koła chwycił
Apollinowy wóz —

O jakże cudowna — cudowna Pani twoja — —

A ty codzienne podróże
czyniąc śladem kóz

i górnych strumieni —
rzucałabyś ten brzask — —
w tobie zaczajon
Jej maleńki rąb — —
Tak czasem nucą opale
leśnego zdroja
w pożarach dnia — —
tak kochankowie ciał śnieżystość mają
różami czerwieni — —

Wszystko — co widzę — nie przywołane z dali
utęsknieniem —
jako miniona pieszczota
ta twoja — — ta — —
ani zamknione w głąb
i zataczające łuki świateł i świateł tęcze
z promieni kwitnących raz tylko — raz — —
— Słyszysz — Hero? —
Ale wszystkoześnione w tobie się pali
i płomieniem mota
rozsnuwających się pod mym wzrokiem gaz
czy jakichś kwiatów — w których klęczę
czy jezior — w których się mienię — —
A nie wiem — — — ty jedyna — —
ja nie wiem — — spłoniona
patrzy dusza tam —

Jakże cudowna — cudowna Pani twoja — —

— Wina — — hej wina —
i róż — i hymenajos Anakreona
nućcie —
Pójdę ku Niej sam — — —
Tryśnie czoło wawrzynem
w gineceum na Panteońskim Dworze
przy niebiańskiej uczcie —

Hero — burzy się morze — —
ratuj — Hero — — Afrodis — nie karaj — ginę — —

HERO W ŻAŁOŚCI.

O fale przeklinane
wszystką bolu męką —
wszystką rozpaczą daremną
i mściwością próżną —
o wy łżone i płaczem okrzyknięte
i we łzach rozlewne — —

Już nigdy przy nim nie przystanę —
jak u żaglów lotnych
krzyki mewne — —
już miłosnym dźwiękom —
luteńkom —
nizanym melodją różną —

nie lecieć ze mną — —
Nie padną róże uśmiechnięte
ku nocy źrenic samotnych — —

Ale rzeknijcie wy fale ciszą niebiescze —
któreście Panią boską moją
przywiodły
nad brzeg helleński —
czy nieznajome wam te modły
i te uroki —
zarzekania fal powrotnych — —
kwiatów osypanych — a zakwitających jeszcze — —
czyście nie kładły nigdy zaczarowań
zginionym wojom
na rzucone w skałach zwłoki — —
czy przez krzyk męczeński
niema w was żalu
i niema nadziei — —

Już nie odczuwa Leander całowań —
bo oczy jego z sinego opalu —
bo usta z zimnego koralu —
a ręce sen lodowy klei — —
Już nie wyciągną się ramiona
z pieszczoty prośbą — —
już nie zawisną przy mnie
girlandową wonią —
jak dymy ofiarnicze — —

Już Leandrowym nie unieść się skroniom —
uśmiechom czy groźbom — —
Już pierś zamkniona
w ciężkim zimnie — —
— a ja w szaleństwie — w trwodze krzyczę — —

Pani — ty cudowna —
z cudniejszych cudem przeczystsza —
najpromienniejsza
i tysiąckroć chwalna —
Afrodis — —

Byłam ci dzieciną ślubowna
i niosłam róże
najpurpurowsze — choć cię nie upiększa
nic — piękną nadzwyczaj — —
oto błagalna
padam: rady użyczaj —
broń — — jeszcze go dla mnie utaj — —
ożyw śmiertelne zgliszcza — —
daj mu uśmiech — cuć łzy — — natchnij wróże
i ucałuj skroń Ateny —
wstrzymaj i zwróć Kronosa
na obszarach Gei — —

Ale ty nie znijdziesz tutaj —
wiem — pani dumna — —
niema nadziei — —
— Widać zmierzchowa tu upadła rosa

i pękło serce bez ceny —
a ja bezrozumna
poić je zachciałam krwią usiłowań

Tak karzesz Pani śmiałość?
— karaj zuchwałość —
Już nie odczuwa Leander całowań —
bo oczy jego z sinego opalu —
bo usta z zimnego koralu — —

Jestem nad nim — dziecina
wyhodowana przezeń — —
na rękach noszona
i jego pierśmi rozwita
i śpiewna usty — jak godzina
zegaru tajemnego łona —
jak skroś ciemności rozrzedzeń
zakwitającego liść najpierwszy rana — —
Kochanka twór: ukochana — —
ale ty Pani w nim — Majacząca i snem jego odbita
we mnie jesteś — w nim jedyna.

O nie odganiaj ćmy — — W tobie
chcę Elizejskie pola witać
albo jak obie
roztrysnąć Hyjady —
albo jak Daphne zakwitać — —
Cicha — blednąca łódź sposobię — —

kochanek wiezie mię blady —
— — Afrodis — —

ATENE.

Słyszę-ć Arachno — a słyszę
i dosłuchuję się wyrazów —
których nie mówisz — boska — —
Tak ci pałają oczęta —
że się rumienię — —
a ustka
w muszlę ognia rozwite —
a promień skrzy się z każdego włoska — —

Milcz — — strącam z płaszcza liszę
i za rzuconym cieniem
skrawa gaśnie łęta — —
Nazów mię — nazów —
jakoś zwała mię dotąd — orbitę —
której pragnęła twoja pustka
i twoja krew młodziuchna.

Idź — weselne łoże gotów —
możeś mi druchna — —
albo mi rzemień

wiąż tu u sandała —
albo w gołąbkę się przemień. — —

Arachno — ty dziewko zuchwała —
krosienka twe to nie moje krosna — —
Patrz — jeszcze cię ośmielę:
na gwiazdach moja wiesza się osnowa
od gór — tytańskich namiotów —
a wątek Apollo nadzierga ukośnie
a czółenka prowadzi miłosna
Zefira chwiejność:
motyle — przezrocze skrzele — —
I bezbrzeżnie tkań moja się snowa — — —
czasem ją ujrzysz — jak po śnie
ockniona —
a czasem patrzysz w widomą kolejność
pojawianych dworców:
świt łamanych kruszców —
sypiących się pereł — — zwierciadeł posady — —
tęczotrysków kolumnady — —

A ty przyczajona
na przedmieściach głuszców
i ślepców —
tych kochanków odbiorców
i sprzedawczyków — — tych — jak stragan
ich sprzedażny — pochlebców — —
oszustów —

— — — aby przeżyć Czas
— — — i zostawić nas — — —
Patrz — chylą się do biustów
i łon — jakby leśnych bogiń —
niby konwaljowych motyli —
twoich rówieśnic — — chylą się słodkością namów
i uśmieszkiem nagan — —
Idź — w tłumie ich pogiń —
żarnych badyli —
słaniających się nad rosy zielem:
— — — aby przeżyć Czas
— — — i zostawić nas — — —
i prządź — prządź pająku w zaułkach kramów.

A dziewko ośmielona
pomnisz Semelę — —
zaprawdę boginią była ona — —

Synowie moi — światła syny —
w obliczu Rhei
obeszli ziemię naokół —
jak Teby lutnia Amfijona —
i przejrzeli skarb Hadesu — —
i uśmiechnąwszy się witali Persefonę —
i biegli na wyżyny
nadziei
w błękitniejący przestworów cokół
pojąć Uranosa — —

Niema im równych i niema im kresu:
Ares ich ciosa
labirynty nieprzejdzione — —
A ktoby okuł
jak inne
ich rydwan — nie znalazłby kolei — —

Wesel się Bachsie — tańcz Majo kwietnorosa — —
— — — ty dziewko kręć pajęczynę — —

DZIEWIĘCIORNIK.

Skrzydłami gwiazd czy skrzydłami słońca
toczy świetlistość
Wasz chór:
— — bramy płonących winogradów — —
rozkołysane lutniami ścieże — —
i rozpryskany we mgłę miecz słońca — —
a z mgły — palącej się wiecznie — podane w wieczystość
twarze człowiecze — załamujące spór
i uśmiech i szelest gadów — —
— — szeptanie dolin wodospadów — —
a jakże piękny zawodzą pasterze
tan — —

a naraz krzyk i krew — zawiść — —
i tam polipsera słońca —
rozsuty tam gwiezdny wian — —
i uśmiechniony wita Was Pan —
— Lykajos — —
dziewięcioro cór — —

Tedy jesteś — Pieszcząca —
i najwonniejsza — jak ogień — co pieści — —
w różach złuniona
gorejących usty —
włosami czerwonemi nakryta —
z łona szkarłatnej ssąca patery
purpurowy napój — —
a nim dopijesz do końca —
powietrze zaszeleści
i skona — —
łyśnie pierś złotemi ciała inkrusty
i zapyta —
a ty na rękach łaskawych dobrotliwej Hery
uśmiechem się napój —
Erato — —

Oto nadchodzi — Ucieszająca — szmerem
rosy — liljami w szeleście
i opowieścią płaczących grot — —
i tęczowe porzuca w morze kamyczki —
u mosiężnych wrot

w uśpionym mieście — —
i rumienią przezroczą jej cerę
spotykane dzikie różyczki —
zrywane w lot — —
wiąże z promieniem ich promień w mozajki —
wachlarze wschodnie —
w okręty chmur i w zgiełk Chaosu zawiei —
w epitalamjum bóstw — — — i tchnie twój grot —
Euterpe —
w pierś Rhei
i w falującej onej chłodnie —

Dobywaj miecza — Kalliope
i błyśnij — — —
odkrzyknie błysk po skałach
i skry pojękną drżącostope
w pieczarach — —
złocisty zadymi pył — —
— Evoë — tytani w głazach snem zawiśni — —
— Evoë — cyklopy zwarte w barach
kamieńmi i martwą sączący ropę — —
Odkrzyknie błysk po skałach
i w twój wróci miecz — — grom strzaskanych brył.

A między rozpękane żleby
i skamienione tułowia
wślizga się cichość delikatnych rys
czy wyżłobień cienia — —

— zapytań — —
i wklęsły ślad załamanych spis
i gorący dotąd wkręt oceannej siejby
— jakby się zaróżowia — —
i szczerby szczerb Zeusowego ramienia — —
— zapytań — —
— Oznajmiająca — rzeźbi echowy on fryz —
makatę tysiącznego brzmienia
zapytań — —
Klio —
dążna skroś labiryntowe Ereby
letejskiego marzenia — —

A ty — Śpiewająca — Dionizosa i Satyra
słodka rozrywko
i śmieszne płakanie — —
czemu z pod koźlich stóp
wytryska złota winogron lira —
niby kwiatowy czub — —
a po niej kładą się brody skośne —
włochate — —
i o śmieszne płakanie
i słodka rozrywko — —
a jakże ssą to złoto rośne —
zaskórną płynną poświatę
i nie żałują prób — —
Cudownie poczęty on ślub
Dionizosa i Satvra — —

— — Słuchaj — Darząca Pieśnią —
słuchaj się wieczyście —
i tylko uniosą czół
i oczy wzniosą zasłuchaniem
na twe przyjście — —
Pod zróżowioną gajów czereśnią
nie rozwioniesz pszczół —
ni polaną białorosą
nie spłoszysz łanię — —
bo idąc dajesz złocistym rozsypać się kosom —
a przez nie lic twych rumienią się kiście
i oczy — które wszystko ześnią —
a później w dym igrzyskowych rzucą kół.

— Smukle — pieszcząco — zwolna
tańcząca Terpsychoro — —
motylem złotym —
siną mewą —
obłokiem — —
A patrzaj jak ci stopy gorą — —
powłokę
słoneczną Hermesową — i potym — — potym — —
smukle — pieszcząco — zwolna
tańcząca Terpsychoro — —
stań — — nie zawierzaj śpiewom
nad otchłanią —
lub niewidzialnym uśmiechaj się kołysaniom
przemijającą porą — —

— Jak rozkwitniona róża Olimpu
zapala się kwieciściej —
— Taljo —
twoje kwitnące powstają lica — a w nich lic wiele —
jako kamee albo atlanty — —
one zaś twarze w zwierciadłach skrocione
tęczy — liści
i jeszcze rozsypane w trzmiele
i w kamyczki ziarn — —
Dziwne — noszą zasłonę
cienia czy zmierzchu czy pomroku — —
— wielkie kosmiczne warjanty
boleń — — zemst — — śmierci — na stoku
wiecznego Olimpu —
Taljo — —

Perystyl złoty palisz
i mlecznych wzejść
i djamentowych wrót
i wnętrz —
o ty Niebiańska — co dajesz przejść
oczom do źródeł białych tęcz —
do gwiazd skrzydlatych rud
i myśli w kruszec palisz — —
Uranio —
nieodgadniona wręcz —
ni wieki nie odsłaniana u tych wejść — —
choć ile tajna wprzód — —

dusze palisz
i prawiekowy — wieczysty Cud — — —

. . . .

SNY KSIĘŻNICZKI MORENY.

Uśnijcie malwy srebrne
i różanouste
przy murach —
i wijące się po nich róże
najbielszych motyli — —
i świecące na modrych jeziorach
nenufarowe rosy — —

Skroś komnat zgórze
idę w cieniów sznurach —
idę w świateł piórach —

Rzucają okna izdebne
jasną chustę
ramionom —
a ta jest złotą wpierw — skrawą — zaś piorunem
ogniów w skier bisiorach — —

Hej gorą moje włosy —
usta me płoną — —

Tej chwili
biegnę jabłoni kwiatem rozpachnioną —
biegnę rozniecającą łunę
świetlicą —

Rozkwieciły mi progi
jabłonkowe siejby
najrańsze —
pod świtowy wiew — —
owiło mi kwiecie złotogłowie
ściany powiernice —
modlitw sklepień nuty —
okien tęsknot dymy najróżańsze

A gdzież me bogi białe? — dawne bogi?

Milejby
skonać — niż pić z zimnych czasz — —
Kamieniom palić krew
i krew li na krew odpowie?

Biegaj — — Ze szat ockniony —
ze wstęg zezuty —
jasny — —

Tyś bóg — bo we mnie trwasz —

O paziu — tyś
jest królem nazowiony —
i tchniesz skroś miecze —
skroś tarcze i proporce — tę złotą kurzawę —
jako król jasny — jasny — —
Rzucasz mi nagle płomienny kwiatów miecz
na oczy — — Człecze —
— szatanie — wlecz mię ku sobie — wlecz — —
— — twe usta krwawe — —
— — tylko dziś
— — tylko dziś — —

Hej — — noc nas gna —
wicher gwiazd — rumak mlecznych wrót —
Ciemń i światłość ze chmur
pełza po jeziorach —
liże mogiły — —
pnie się — — pnie — —
— Ktoś ty jest? — Ach rosa-wtór
rozbryzgana szlocha w głos —
ach mgła-wtór
z najwiotszego ścięta krza —
z koron stulających mgłę —
szeleści w borach
pod wichrowy wjazd — —

Ty mój miły — —

Ze wszystkich godzin —

ze wszystkich mgnień
wybłyska ponad wszystką wolę
wszechradość — i zachwycenie —
i trwanie — i mrzenie —
Nasz Przenajświętszy Dzień
w kwiatach narodzin —
skroś kwiatów bole —
kwiatów śmiertelne łkanie — —

O płońcie jednodniowe kwiaty —
o płońcie księżniczce Morenie —
o płońcie jednodniowe kwiaty — —

KRÓLEWIC MAJ.

Majo —
śniłem — centaurem
skroś łąkowia
gnam
i pęd mój lotny —
Hej — ha burzanów strumienie przedarłem
złote od k-nowia —
opływające świetlic leśnych głąb —
Targałem sam

i mną targały — — i migotny —
pachnący — duszny chwytał mrok —

W skok — — w skok — —

Ocknięty — — miałem na ustach twój rąb:
biały — czeremchowy pąk
z miłosnych zsuty rąk — —

Spętan mój bieg — — —
Czułem szaleństwo
kopyt i ud
i kolan — zamotanych w liść i kwiat —
złamany rzut —
zderzony cwał —
Z bioder i piersi — jak przekleństwo —
u ramion płomień kwietny legł —
Padłem — — kochanek twój ci młody — —

I zdało mi się — że twój pieśni sad
we słońcu grał
u świtowego czoła —
Wołałem ciebie — i słyszałem — woła
sto ech — sto ziarn niezgody —

Miłuję-ć Majo — —

MODLITWA.

Idźmy — rdzawej unieśmy płyty —
pochodnię spłomień — —
Ciężko ocknęła się echem posowa
w świetle ogniowa
i jękła ciężko zawora
za nami nizko — — —

Słuchaj — — Jesteśmy — jak dwoje kryp —
kryp dwoje
na podziemnych wodach —
Weszliśmy tajni sobie — skryci —
o dach
ciemności nachyleni —
Nie wiem — jakie twe przezwisko —
ciemne i moje —
ale patrzymy w Jej białe źrenice —
czynimy spowiedź
tych wszystkich naszych promieni —
które zdążają płowieć —
tych srebrnych wici. — —

Więc patrzysz ze mną w bezwice
oczy śmierci?

Pójdź — Oto z mrocznych korytarzy
wyjdziemy senni

znanym mi schodem —
kędy Tęsknoty rzucimy pieśń —

Patrz i zobacz siebie —
Dziw — — Oto błysk — i sad się jarzy
najpromienniej
w kielichach ros — w hostji jaśnienia — —
Oto cię wiodę
w różaną — rozkwitnioną pleśń —
we szklany chłód
przenajsłodszego drżenia — —
i zda mi się widzieć na marmuru żlebie
u wodotrysku w bieli ścian
złocisty mimochodem
rozśmiany dziewic nagich chód — —

Pójdź skorzej —
winorośl złota gra
i gwiezdne zerwiemy tulipany —
pąsowy wian — — —

. . . .

Zali nie pragniesz pić ze mną o zorzy
Życie?

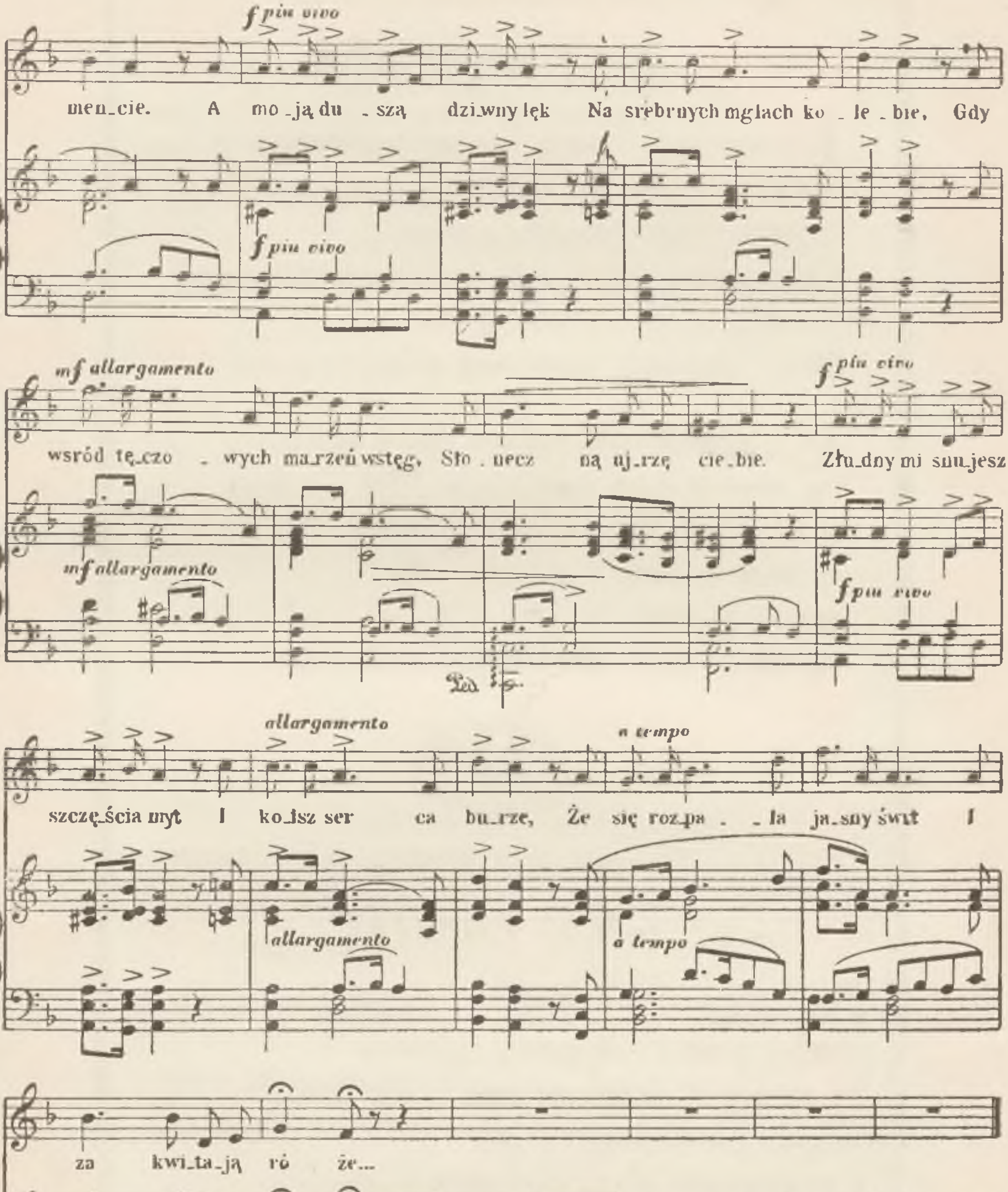


O NIEJ.

SŁOWA
ZYGM. Z. IDZIKOWSKIEGO.

MUZYKA
FELIKSA STARCZEWSKIEGO.




f piu vivo
men_cie. A mo_ją du_szą dzi_wny lęk Na srebrnych mgłach ko_le_bie, Gdy
f piu vivo
mf allargamento
wsród tę_czo_wych ma_rzeń wstęg, Sło_necz ną uj_rzę cie_bie.
f piu vivo
Złu_dny mi snu_jesz
mf allargamento
f piu vivo
Ped.
allargamento
a tempo
szczę_ścia myt I ko_łysz ser ca bu_rze, Że się roz_pa_la ja_sny świt I
allargamento
a tempo
za kwi_ta_ją ró że...
Ped.

...JEST WIECZÓR

Jest wieczór — pełen czereśniowych zjaw —
(księżne norweskie włos trefią srebrzysty)
i pełen żabiej serenady mglistej
(kochankiem ksień tych każdy śpiewny staw)
i cichną sosny i zmilkają tuje —
kiedy kochanek panią swą całuje — —

O — księżyc wije między niemi nici —
by srebrne listy westchnień — łez — i drżeń —
o — księżycowy nachyla się dzień
u stawów czoła i u drzew kibici —
wiąże kochanków — — a im tak się marzy —
że idą w niebo pośród gwiezdnej straży...

...NIE ZASNĄC

Nie zasnąć — nie zasnąć — — schylić się w mrok
ulicznej pustki — Latarnie zgaszono —
po gzymsach domu już cień — jak pijany —
niepewny zatrzymuje krok —
z niepewnych objęć występują ściany —
a skroś powietrze mgły blednące wioną — —

Ty śpisz Maleńka i nikt cię nie cuci —
choć może ranków tych bez ciebie szkoda — —
Chłód ciężki całuje mi skroń — —
Gdzieś na podwórzach słychać świt koguci —
— powieść o duchach uśmiecha się doń — —
czas wrócić — jeszcze chwila dawna — młoda —

Jak cicho wchodzę skroś ciemne podwoje
i róże ciche rzucam w ślad —
Maleńka zbudź się — — czujesz? pachną róże — —
W dnieniu na dole czeka czółno moje. — —
. . . .

ECHO.

Była tam dawno — ale wspomina
heljotropowe gazonów uśmiechy
i palmy tarasów
i on zamek kamienny
nad okolicą równin skałopienny —
w którym to wydzwoniona godzina
trąca złoto zasuw —
że jakoby odmykań drżą wokół pośpiechy — —

A za godziną tysiąc bije godzin —
zegar za zegarem wtórzy —

i szepcą dworacy
siwi i ślepnący i prawie głuszce
o białej kasztelanki róży — —
o grobów książęcych nie gasnącej łusce — —
uśmiechach narcyzowych wojewodzin — —
biskupiej — złotej w ciszy adoracji — —
i tęczującą unoszą buławę —
scucając sen hetmana —
i rycerskie kolczugi —
dzwoniące promieniami u pował —
gdzie tarcz herbową pająk osnował
i całą w srebro zatulił nawę —
w girland srebrzystych smugi
śmiertelnego wiana — —

Więc tam — jasne chyląc skronie —
nuciłem jej piosenki —
rzeźbione w stance — —
Ona modliła się — — święcone modły
padały jakby krople na marmur ochłodły —
a ja skroś ironję
czułem — jak kocham siebie w niej — w kochance
u pogrobowej wnęki — —

LIST.

W twoim sadzie — kędy nikt nie chodzi
i różowe kwitną tulipany —
list kochany
upadł z wiatru łodzi —

A w tym liście szeptem ust znaczono —
żeś ty moją panią ukochaną —
że mi dano
w tobie szczęście pono — —

I słów jeszcze zamknięto kilkoro:
gdzie różowe kwitną tulipany
do altany
przyjdź miesięczną porą — —

Będę mówić ci pod srebrną zorzą —
jak słowiki miłośnie rozjękły —
jako zlękły
o ciebie się trwożę — —

Potym zbiegnę do rzecznej przystani:
łódź uniesie mię na oceany!
Tulipany
krwią zakwitną pani — —

W twoim sadzie — kędy nikt nie chodzi
może zbłąka się gołąb wędrowny:

list cudowny
padnie z wiatru łodzi — —

...W WIRYDARZ BIAŁY

W wirydarz biały brzóz —
w białe milczenie
rozkochane Nasze schodzą cienie —
jakby je niósł
łysk fali we zmierzchnienie —
wijący się skroś łóz. —

Złocisty pyli liść — —
z drzew pyli zwolna
płacz złoty — smętność dookolna —
i zda się iść
jako przecichość polna —
skroś gałąź każdą — kiść — —

Na czoła Nasze padł
smutek listowia — —
i oto w Nas się zaróżowia
krwawy przeczuwań kwiat —
jak u wezgłowia —
u mrącego mat.

Otom ja Twój
i Tyś jest moja —
jako tulący się do zdroja
zdrój —
jak przędź śnieżnego zwoja —
w biały wprzędziona zwój.

Aleć jesienią mrą
i kwiaty — —
i zda się Twojej słyszę szaty
szept odchodny — — Mgłą
mi się śnisz — co ujdzie w światy — —
i w śnie złorzeczę snom.

Nie wiem — jak będzie — Patrz
jeno — jak się lękam zostać
sam: drżę i Twą pragnę postać
zakląć — — Nie odejdź — — Bacz —
bym żył Tobą: Ty musisz z duszy mej wydostać
on nieutulny — tajemniczy płacz. — — —

Będę Ci śpiewał śpiew —
co wstanie
na Twe przesłodkie zczarowanie
z mych trzew —
ze krwi — — — Twe miłowanie
tę mi męczeńską okupi krew — — —

NIOSĘ UŚMIECH I ŁZY...

Wspomniałaś — kiedy smutek zawiązywał oczy —
wiatr wył gdzieś na dworze — —
może się uśmiechnąłem i płakałem może —
boś mi nagle rzuciła złoto swych warkoczy — —

Na jakimś statku dobrym — jak smutny włóczęga —
w tę daleką stronę
gdzie czuwasz — niosę uśmiech i łzy — jak złowione
dla Ciebie perły — — Cudna słów drogich potęga...

AMULET.

Moje serce? Śród ogrodu drzew —
gdzie się z laurem jabłoń biała splata —
kwitnie dziki — purpurowy krzew — —

Piękna pani — jeszcze tego lata
orwij wszystek wbrew litości — wbrew:
niech ci stepem zapachnie komnata!

Uczyń z kwietnych — purpurowych fal
suknię wolną — odzienie zbytkowne
i zapowiedz mi cudowny bal — —

Pojmę — pojmę — niewolnik carownę
w drżące ręce śród tańczących sal — —
weprę sztylet w twe piersi cudowne!...

...NA SREBRNYCH LIŚCIACH

Na srebrnych liściach — na tej popielatej
koronie liści — niby pod księżycem
piszę do Ciebie — — Wy — lipowe kwiaty —
wy — lipy smukłe kryjcie tajemnicę
słów rozpachnionych miłosną udręką
i półrozwitych — jako kwiat — maleńko — —

Nawet się wietrzyk nocny nie przechyli —
ani ktoś ciekaw — — To pisanie moje
krwią rubinową na liściach rozpoję —
na liściach białych — niby noc tej chwili —
Jakże zapłonie ci różaniec owy —
gdy się pomodlisz w jasności lipowej — —



... TWARZĄ ŚCIEMNIAŁĄ

Twarzą ściemniałą obracam się tam —
ku jakimś dalnym — oddalonym niwom — —
Nie wiem czy ówdzie możesz być szczęśliwą
i nie wiem czy tę co Ty tęskność znam —
alem jest oto — jak krwiste paliwo —

I takie myśli mną idą tumanne —
rozpłomienione — zgiełkliwe we lęk —
że widzę się wykleńcem w glorjach pręg
sinych — na ściernia złożonego łanne —
w jakąś złocistość — niby wschody ranne — —
I oto jestem bolny echem dźwięk.

Nie umiem Tobie już pieśnić — jak gdzieś
we zboża łanne zaszyty — uśpiony
nocą świerszczową wpatrzon w gwiazd lampjony —
i gwiaździe Twojej modlący się — weź — —
Kędyś — ta moja — obca Tobie wieś
i pełne śpiewu o Tobie zagony.

A jam tu tylko — jak brzoza samotna — —
Nuciłem Tobie dawien popod wyż
on łom tatrzański — skamieniony spiż —
i dusza moja była we mgłach lotna —
i zawodziła: zbliż się — — zbliż — —
aż ją uniosła k'Tobie fala wrotna. —

Czekać — — ach czekać stokroć lepiej mgnień —
które się zdają kaplicą żałobną —
i lepiej ciągle iść ścieżyną drobną —
choć taka szara — niźli w noc i dzień
rwać k⸗gościńcowi — A Myśmy osobno
uczeni cierpieć — Tak zejdziemy w cień — —

Ptaki nad Nami biel skrzydeł rozwiną —
jakoweś senne będą i łabędzie —
a Nas cieniące — i Pieśń z Nami będzie
rozetęskniona — upojna — jak wino —
od fal szaleńsza — fal łamanych w pędzie — —
a konająca — — O smutna godzino — —

Ach — bo ja wierzę — chociem jest bez wiary
że My z rozłąki będziem iść k⸗rozłące
i dusze Nasze jasne — miłujące —
gdy kwiaty martwe czół złożą na mary —
już się nie rzucą — — — O pocóż ci mącę
chwilę — na którą możem rzucił czary — —

Kochanko moja — Czyli słodziej można
zwać Cię o cicha — o kryształna Toni —
Jeśli przypomnisz pieśni mistrzów — Oni
brali to słowo zkrólewska — zwielmożna —
A dusza jak mnie im tęskniła zbożna
i całowali we śnie sen kochanych dłoni —

Tak — tak — Kochanko oddalna — oddalna

gdybym miał kiedyś taką ciężką chwilę —
bym się tęsknoty nie mógł oprzeć sile —
będę Ci śpiewać — jako dusza szalna —
Wtedy przysięgaj mi miłość — ach byle
nie przytłoczyła mię niemoc fatalna — —

I nie myśl o tym — We mnie jest szatańskwo
i utęsknienie za wszystkim — co tracę — —
Godziny mię nachodzą — że w groby kołacę
i grobów pytam o mych tęsknot państwo — —
Wesela mego — szczęścia — — snów poddaństwo
od mogił wiedzie mię we gwiazd pałace...

Wtedy nie widzę nikogo — A Ciebie? — —
Dłonie mi stają się — jako pioruny
i cały jestem we śnie złotoruny — —
A tam podemną na samotnym żlebie
cień jakiś ku mnie pręży się — kolebie —
to Ty — Pieśń wiąże Nas — jak łuna łuny — —

... A NIE WIEDZIAŁEM

A nie wiedziałem kędy iść —
by móc powiedzieć — —
i uwinąłem smutku powrósło

na progu swoim — —
Aż przyszło mi ku tobie iść
i na stawie —
gdzie lilje poczynają śniedzieć —
plusło
tyle — tyle skier — —
Za twoim cieniem powoim
i cudowną bladością
i źrenicami libelli —
łódź moja płynie — — z lilji bierze ster —
wiosło ze trzciny strzeli — —
. . . .
Alem daleki — daleki radościom — —

... W TŁUMIE

W tłumie podniosłem rękę twą
do ust — —
dziwne — dziwne:
porwał mnie słoneczny grom —
rzuciłem się do twoich ust —
znikły — —

Twój wzrok
i cofające się myśli przeciwne —

Dumna jesteś i niezwykły
oddalający się krok —
schylam głowę: cieniem staję się w płomieniu —
odchodzisz w cieniu — —

W PŁOMIENIACH.

Noc bezgłośna — — Niech cię chroni smęt —
co się z piersi mojej jak wiatr zrywa — —
gad spowijam się w tajemny skręt
u pieczary pośród gwiazd łuczywa — —

Tam podemną rozwichrzony bór
zatańcował nad bielą jeziora — —
gryf otrząsam się — dostaję piór
pędzącego w błękit meteora — —

Jeszcze pnę się na miesięczny złom
wyżej — wyżej — i w śniegu miesiąca
widzę kędyś mój bielony dom — —
ty nademną chorym czuwająca — —

I TERAZ GDY...

I teraz — gdy cudownie w żalu
odemnie w dal odwrócisz lice —
o daj mi usta twe z koralu —
z przenajczystszego świtu — —
niech cudem onym się nasycę
w płomieniu zachwytu — —

Ty mnie zapomnisz — — i czasami
może ku tobie nadejdę — wędrowiec — —
wyciągnionemi ujmę cię rękami
i tak przytulę —
jak nieśmiertelny piramid grobowiec
trwożące się zapomnień króle — —

JAK DZIWNIE...

Jak dziwnie — jak dziwnie jest duszy — —
— — smutku nie przegnać
i trzeba uśmiech twojej duszy
od duszy mej odżegnać — —

A potym ręce kłaść na sercu — —
— cicho — — nie krzyknąć —

złorzeczyć woli i złorzeczyć sercu — —
od pieszczot twych odwyknąć — — —

I załamane we śnie ręce
na ust płomienie łożyć —
jakbym wspomnienie brał na ręce
i chciał przez ciebie w szczęściu ożyć — — —

CHCĘ JESZCZE...

Ale ciebie chcę jeszcze mieć
na czółnie pod księżycem
w takiej chłodnej — zwierciadlanej bieli — —
Będę dłonie ci całować
i wróżyć — —

Rozwiniemy cienistą przeczuwań sieć
i ty mnie — ja ciebie ochwycę —
by się sobie zwiastować —
jak cudowni anieli — —
. . . .

W skały ucieknę i tam będę chować
śród skał
w płomieniu błyskawic najbielszym

na wichrze —

Me serce od gwiazd cichsze
runie gwiazdy burzyć!

KOCHAĆ — A POTYM...

Kochać — a potym uderzyć w toń
różą — co zbladła — —
tak dotykałeś się ustami oń — —
pamiętasz? — — Cicho — ktoś tam w mroku
lilję podeptał u jezior zwierciadła — —
Motylu ślepy! kochasz — jak co roku — —

Ale są róże upojne — płyn
tające czaru
pachnących — czarnoksięskich — złotych win —
Omdlejesz: taka cudna pani
słonecznego jakby cień udaru —
jako piorun — — Konają w snach pijani — —

Lecz ty się miłości nie trwóż — pędź
motylu skrawy —
różo złota — dokąd wabi chęć —
a potym — — potym jedna dola —

pod rodzimą skibą więdłej trawy
dół cichy — — nad nim szumiąca topola — —

Z WIATREM.

Jesteś — jak małe — piękne cyganiątko —
któreby porwać chciało się z obozu
i uciec z oczu twych stalową łątką
do ukrytego w zaroślach powozu —
Niech pędzą konie kare w cwał! W karocy
zapachną róże balladowej nocy — —

A ciebie w szorstkiej — purpurowej płachcie
obejmą ręce i oczy przerażą — —
ale marzenie o dziecinnym jachcie
stanie nad nami z księżycową twarzą
i ręce dzieci pochwycą te róże —
co popadały oknami w wichurze — — —



CHWILA.

W takie wieczory morze
westchnieniem piersi lazurowych idzie
na brzeg — —
na brzeg
w złocistej żwiru absydzie
rzuca aboticele
i pian żmiją białą się ściele
w takie wieczory morze — —

. . . .

Tak bardzo tęsknię — —
Błyskajcie żagle na samotnym nieboskłonie
wieści — —
wieści
jak dzikie — tabunowe konie — —
cisnę arkanu płomię —
spętam — poskromię — —
Tak bardzo tęsknię!

. . . .

Niech kto nadpłynie — ach kto bądź — —
czasem nie mogę sam pozostawać
tutaj — —
tutaj
źle jest nikomu siebie nie dawać — —
samotność czasem pali srożej —

niż smęt — co u nóg się łoży — —
— Niech kto nadpłynie — ach kto bądź. —

MY PODRÓŻNICY...

W taką błyszczącą śniegową noc
księżyc się rzuca pod konie — —
w twoich źrenicach szaleństwem skrzy —
na ustach zuchwalstwem płonie —
Między światami tylko ja i ty

w taką błyszczącą śniegową noc — —

Podkowy błyszczą w miesięczny krąg —
jak łuki pęd je wygina — —
lećmy i pijmy trujący cud
księżycowego wina — —
choćby roztrzaskać skroń o grudę grud!

Podkowy błyszczą w miesięczny krąg — —

My podróżnicy z przypadku tak —
luźne podano nam strzemię — —
żyć — czujesz — — żyć — aby miłować lot —

ukochać niebo — ziemię —
młodzieńcem w skrzydłach wstać u śmierci wrot!

— —My podróżnicy z przypadku tak — —

BIEDNEMU DZIECKU.

Pamiętasz? Jacyś zakazani goście
stół okrążają i gryzą owoce — —
a my zdaleka — niby w ciche noce
posągów białych sen na miejskim moście — —

Oto ci ludzie myśli twoje toczą —
aż je przytępią — jak młyńskie kamienie — — —
Małego domku drzemka i jedzenie
już się podoba wzwyczajonym oczom?

Nie masz sił duszę gasnącą ratować — —
Siejesz — tańczącym koło ciebie błaznom —
a może kiedyś godziną przyjazną
rzucone dzwonki będziesz w włosy chować — —

Szeptać błazenkom słodką tajemnicę —
jak się północą przekraść do komnaty — — —

a mych trujących myśli — o — te kwiaty
będą Ci kiedyś dalekim księżycem...

PÓKI SIĘ CZÓŁNO...

Póki się czółno nasze nie uciszy
choć trwogę kocham — nie chcę tutaj trwogi — —
Płynę w ciemności rozchwianych komyszy
pośród tej wodnej przezroczystej drogi
i choć cię szukam — choć najduję skoro
smutek mi wiąże wpatrzone źrenice...
— Może najduję — ah — czerwia pod korą
kiedy zachciałem mieć dziką orlicę?
— Może pokrzywa dłonie mi oparza
kiedy nad głogiem zdawało się chylić — —

A tak nasz polski głóg kocham panienko —
i tak orlicę marzę z sinem okiem!
Zbudowałbym jej gniazdo śmiałą ręką
tam nad huczącym we światy potokiem
całe w głogowych pachniejących różach!...

Cóż — gdy tak mało w tobie jest szaleństwa
wichrów słonecznych! — nie śnisz o podróżach

w białych masztowcach w noc niebezpieczeństwa —
ani o takich wspięciach się na góry
kiedy tchu braknie i serce rozpęka!
. . . .
Cenisz koronki i białe ażury —
białe szmateczki i rembrandtów denka — — —

NIE MÓW ŻE KOCHASZ...

Nie mów — że kochasz — — Mów: złorzeczę
i wielbię — — przeklinam i pragnę — —
Patrz — świt jezioro zasiekł mieczem —
a oto ślizga się i bagnem — —

I woda wiecznie cicha stawa
pod fontannami słońca śmiechu:
zaróżowieje i złotawa
odda się słonecznemu echu.

Jeśli muł wzejdzie — w czarnym szlamie
gnijące się otworzą leje:
złotym onyksem cień zakłamie —
rozpadlinami się zaśmieje!

Wierzysz — że kochasz? Z wód — stojąca
dnem zachowuje mętne dzwony:
topielców obłęd ściszająca —
płacz dziew zielonych potopiony — —

A ja się śmieję — — Gdzieś nad morze
błękitnych morskich tarczy granie — —
Słuchaj — jeśli twe serce boże —
dziewczyno — gińmy na orkanie!

LUSTRO.

Czuwaliśmy nad rzeką —
nad rzeką cudowną świtaniem — —
— noc przeszła nam w mieście
i tu przywiodła —
a woda — tarczą dzwoniąc złotowieką —
poczęła drżeć — — —
Na łodzi głąb — posłanie
uśmiechniętych wnętrzy
truny owej — zeszłaś w milczeniu ochłodła —
wioseł puściwszy rękojeście — —

Byłem niż zwykle smętszy — — —

I oczy niewidome mi niewieście
były — co kwiaty trzęsły rozkochanie
skier płynącego świtu — —
i nie słyszałem — jako przy mnie stanie —
słodko mię ujmie i płacze — —
nucenie — — onej podobne canzonecie —
cośmy słyszeli w mieście —
w dymie błękitnym sal — — w szarym zgiełku — —

A nad dzwoniącą tarczą malachitu
wód zatrzepotały świegoty ptaszęce:
— dalekie w łęgach gdzieś derkacze — —
i zięby leśne — — i z nad ruń skowronki — —

— „Kochanku ginący w poecie" —
szepnęłaś — skier rzucając pąki — —

— — A ja się w twórczej oglądałem męce.



NA MORZE.

Na morze — jedyna — na morze — —
niech rzucą mosty — —
— nam wiosła zakwitły w osty
i gną się — — ster ożył: zwił się w gady — —
z żagli sypie się okwiat — jak z lip — — na morze.

Na morze — jedyna — na morze:
niech w nas uderzy wiatr śniady
i żaru chłosty — —
— mulne owiły barkę porosty —
ciężą — — Śmiejmy się szaleństwem Zdrady:
miłość i w śmierci trwa. Samotność woła na morze.

PUSTKA MIŁOSNA.

Kiedyś mię budził — zdało się na chwilę
w szumie kłosów
złotą lecieć strzałą
nagle wygiętą jak pędzące koło —
stygnącą w słońca bryle — —

Cisza na łące — — Od krętych pokosów

zapach unosi srebrzyste czoło
i świegot ptactwa
idzie łąką całą —
jakby śpiewanie wonnego powietrza — —

Tak mi się zdało —
tak przez chwilę — —
jednak noc mija
i wstrząsam się z rannego chłodu — —
u piersi mojej żmija
nie orlę — na sercu moim syk — —

— Kochać?...
Wyszarp serce — zdław —
w ogrodzie twoim — kobieta — cudny nikt
przejdzie — niewymyślny paw —
nieco rzuciwszy z piór bogactwa
w ciszę wonnego powietrza — — —

OBŁOK KSIĘŻYCOWY.

Selene — biała Selene
podobna tobie
i myślom o tobie — —
ręce wiązała nad świetlaną głową

i biegła w niebios atramentową scenę
co wieczór — —
Pozwól rzucić ku tobie słowo
senne — jak zwierciadło —
które tuli cię nagą i posiada
co wieczór —
wyraz ów trzymam na ustach — jak różę
księżycową —
rozchylają się wszystkie płatki srebrne — —
otwiera okna północ blada —
i tyś jest równie pobladłą —
a pytasz Maleńka co wieczór:

Komuż potrzebne
między gwiazdami podróże ?...

PIÓRO UŚMIECHNIĘTE.

Niedość malowanych ust
i oczu błyszczących jeziornie —
i namaszczonej aniołkowo twarzy — —

niedość drapieżnych rąk —
i wejrzeń nagich pozornie
ciała — w którym się skok pantery waży — —

Skrzydeł — skrzydeł — — W rzutach piór
idzie małe królestwo tej ziemi —
panie ziemskie — słowami innemi — — —

ZNAK.

Między tobą i mną
cień — —
widziałem go wczora i dziś i tej chwili — —
stawał nagle — powstawał — jak wid —
topielec z za trzcinowych badyli
w księżycu jeziora — —
Jeszcze na liljach wodnych rosy śnią —
daleko zły dzień
i ślepo przed nim zdążający świt — —

Lęk tej chwili i dziś i wczora — —

Puśćcie zasłony u okien wolno —
niechaj szeleści
wiew północny:
wpłynie zapach kwitnącego jeziora
w liljach i kaczeńcach — —

Otruć serce trucizną powolną — —

Cień między nami ciągłe nosi wieści —
i tobie wierzyć w uśmiechu rumieńcach
i jemu w skrzydłach upiora — —

Cień między nami — jak puszczyk ponocny — —

LIST GNUŚNY.

Jakże daleki jestem od tych szańców
zielonych — bardzo zielonych i małych —
które wyniosłaś myślom mym lecącym —
niby jaskółki — — Z gniazdeczek zwietrzałych —
z kurzych dołeczków — ah i z mysich tańców
wybrałaś wszystko w tym pisaniu drżącym — —

Mija — przemija to mnie — jako obce
i nawet nie wiem — co czynić wypada
z gościem nieznanym i nudnym okropnie —
więc — — patrzę jako twarz słoneczna śniada
rozpłomieniła sianokosu kopce
i z nich ku niebu chce złote mieć stopnie — —
więc patrzę jeszcze na ciekącą w trawie
jasność źródlaną — niby brylantową
spinę dwu kwietnych łąk czy tęcz czy duchów —
i myślę — że my źle cenimy słowo —

któreby mogło jak wiosnę żórawie
zwiastować — — Nizko u cieni łopuchów
przy starym stogu pastuszkowie mali
słońce na białe czuby i koszule
by szczerozłoty len cicho pobrali —
i stoją jako rozekwitłe ule — — —
. . . .
Jakże daleki jestem od twych szańców!

U SREBRZYSTEGO STAWU...

Chcę tu byś wzięła me zwieszone ręce
u srebrzystego stawu w wichrze — burzy —
jako jaskółki znużone maleńce
biegiem przeciwko wiatru — — i nie dłużej
nad chwilę tylko w oczy mi zapadła
u białej wody — jak widmo mokradła — — —
— A ja bym wówczas rozśmiał się okrutnie
i pobladłemi ustami nie ruszył — —
gdzieś we wsi nagle coś roztrzaska wrótnię —
puhacz u brzegu wietrzność fal zagłuszył —
wiruje woda — wrze — — jak piekło spławu — —
Hej — porwałbym cię i runął w głąb stawu — —

LISTY PISANE NA WODZIE.

I.

Przedwiosenny dzień —
tuli się bezlistna brzoza —
drży blada — —
i z poza
włosów jej rozwianych — jak kaskada
cieniów — biały — wysmukły cień — —
Coś jest w tych drzwiach —
które wiosna otworzy —
jak zawsze —
coś — co trwoży
serca najłzawsze —
innym cmentarny na wiatr rzuca piach — —

Dobry czas —
przedwiosenny czas słoneczny!
O brzozo — —
na korze twej mlecznej
któż to wyrzeźbi cudniej cieniów pozą —
któż równie złoty wykrzesze ci pas?
A jednak — stań
nad jakąś wielką słoneczną wodą
cień biały — —
nagle zapragniesz umrzeć młodo — — —
. . . .

Już złotych mchów
jedwabna przekwitła miękkość — —
las słucha
w gałęzi upowity cienkość —
ptaszęta ćwierkają radośnie dla ucha — —
zielenią się śmieje pobrzeżny rów — — —

Ktoś rzekł:
— a najprzód było kochanie —
niby kochanie potym
i wreszcie — ranek bez ciebie — o panie — —
Gdzieś w pól zapachu i pod drzewem złotym
i kiedy ziemię rozwidni śnieg — —
Wierz bajkom — wierz — —
Księżniczka na szklanej górze —
królewicz daleki
i jeden uśmiech — że nie powtórzę
i jakiś okręt szczęśliwością lekki —
a na otchłaniach złote słońce wszerz — —

Nie płakaj — bracie mój — —
drzewa już pąków dostają —
ruń jasna —
Hej — hej — ku młodym ruczajom
lubo się przegnie kalina krasna — —
będziesz rwać — stroić się — w błazeński strój!
Stańczyku — patrz:
dość Polsce kaliny krwi i słów chmielu —

snów stokrotnych — —
Któż idzie z nas do apelu —
iluż umiera samotnych —
a serc to ile zrywa śmiechu płacz?

Z gór idziesz — z gór
wiosno ziemi potrzebna —
światłości źródlana — —
Pij bracie — to woda podniebna
ze słonecznego gwiazd dzbana:
trzeba ci wiatru u orłowych piór — —
Mówił ktoś —
— a najprzód było kochanie —
niby kochanie zatym
i wreszcie — ranek bez ciebie — o panie — —
— O wyjść z Polski o kiju sękatym —
i powracać — jak królewski gość!...
. . . .
. . . .

II.

Nie — dnia nie będzie bez smętu
o tobie dalekiej?
Pełne powietrze słonecznego skroś tętentu —
kurz się wypręża od migotnej spieki —
a ja w tym słońcu zbóż czy w słońc zbożu
stoję — jak szafirowy cień na błyskim nożu...

Czasem już późno
i niema na kominie drew — —
w sercach okiennic szafirowy świt —
jesteś jedną z zabłąkanych mew —
jakiś w chmurach zatrzymany szczyt —
hej — stepowy koń puszczony luźno —
może tylko luźne strzemię —
to na wiatr — to o kurzliwą ziemię — —

Dość! Powietrza!
i zdarto okiennic sen —
cicha modrość scałowuje skroń — —
a z gwiaździstych — bledniejących scen
wraca Hamlet — oczy kryjąc w dłoń — —
twarz księżyca bledsza —
gorzki grymas — — — Przebudzenie męskie!
Królewiczu — nie męskie — błazeńskie — —

Bo tak stać w migocie fal jeziora
i nie wiedzieć która teraz łyska z fal —
i nie czuć dziś ni wczora
ni jutra — — —

ZGASŁ CZŁOWIEK...

Zgasł człowiek — i ludzie patrzą
w umarłe oczy — —
jakby spał tylko — — Hej — promień zgasa
i cień przechodzi kopułą najgładszą —
niby to promień — — Ta łudząca krasa
iluż wspomnieniom otworzyła oczy?

Ile nam w piersi rzuca cierni
rdzawych — jak puhar —
w którym ostatnia kropla jedyna
żałobną perłą przy ustach się czerni.
Rdza! Nie budźcie go — — Dusza ziemi syna
jest jako kruchy drogocenny puhar.

WONCZAS...

Wonczas — czyś zmarła?
kiedy się miało na zwiesnę — —
pachniały wierzby miodne —
łany urodne —
a kto wie — może zawodne — —
Tobie się droga oparła:
serce bolesne.

A choć Cię mienię
umarłą — nie wiem — — W to rano
schodziły rosy drżące
pod ono słońce
i mgły tężały świecące — —
Może Cię białych ros cieniem
we mnie przewiano...

NAD POTOKIEM WE ŚNIE.

Rozkwita tulipan japoński —
złocisty — krwią ściekły
i bryzgami ziół — —
Ach — czy odeń pszczół
roje uciekły?
czy motyle nie tknęły gałązki?

Jest w ogrodzie szpaler tak wązki —
choć słońcem przewlekły —
że gdy świt go skuł —
jest tym kwiatem wpół — —
Twe usta rzekły
mi: rozkwita tulipan japoński — — —

A POSZLIŚMY KIEDYS...

A poszliśmy kiedyś — wędrowce
cudnych — niedojrzanych ścież
między jeziora gwiazd.
Był wieczór ścież
widnych i spadających gwiazd
na czuwające — bezsenne wędrowce — —

Włóczyły się za nami pawie
z starego parku — zza drzew
i gubiły cień piór.
Nalazłaś w drzew
górze — cienie tych lśniących piór — —
Patrz — mówiłaś — nad nami niebo pawie — —

WIĘC SIĘ PORWAŁEM...

Więc się porwałem — jak raniony w pierś —
i wołam: módl się — krzycz
o błyskawicowy promień
twórczych nieuświadomień —
skrzydlaty miecz — ognisty bicz —
— a tobie nagle płaczem jękła pierś — —

Runęłaś na kamienie — głuchy cios
oślepił żywą skrę.
Poznałem w tobie szczęśliwość
i tę tajemną prawdziwość:
czynem nie jesteś — jeno tłem — —
rozsiekł ci ducha li zamierzon cios — —

Wziąłem cię cichą w ramiona w tę noc —
poniosłem gorycz zwłok — —
Pachniały nam mimochodem
lilje — pojące chłodem — —
a ja starałem się o krok
szybszy — bym minął długą — ciężką noc — —

...A KTO UMIERA

A kto umiera — temu na powieki
schodzi ta siność oddali
i w oczach strumień błyski się krysztali
tym dziwnym świtem —
co przyszedł mrozem scałować orbitę
na wieki — —

Oto w siności tej gościniec drogi —

przejdziony — — niezabyty — —
pnący się bluszczem pod wiekowe szczyty — —
a w wejrzeniu złotym — rozłąki
jasność i cichość — — Marzną skowronki
śród drogi — —

LECZ GORZKO...

W puszczy jestem — — Nie widno krańca —
brzegu — —
Łomy drzewne huczą —
nawołują wiatru — drżą — —
a prawie bez tchu
żar noszą w sobie wichrowego tańca —
stają się jakby tuczą
oślepłą w biegu
za którą łuny gonią — —
Słuchaj — — Weselnie samotnym dniom
na zamkach snu —
— kwitnącym w klasztorach jabłoniom —
lecz gorzko wszechmoc czuć drzew rwącego łomu
i falom być — jak ciężar promu.

KTOŚ GRAŁ NA SKRZYPCACH.

Mój dobry panie — cierpicie tak srodze
i słońce nawet mózgu nie ulecza?
Jak w topolowej — modrej cieńmi drodze
listek słoneczny zaledwie się wślizga —
i niema komu dłonią nakształt miecza
ciąć zdrój w gałęziach słonecznego bryzga?

Czas południowy — — Już lipy odwiły
kwiat tajny — cicho się zsuwa pachnący.
Niejeden rój już wyfrunął opiły
i ptak niejeden strącił szron lipowy —
ty ledwie w onej cichości gorącej
jeden — jak gorzka bezsilność niemowy.

Na zbłękitnionym — od złocistej spieki
omdlałym niebios gościńcu bez granic
śnią białe kłęby obłokowych stanic —
jakgdyby mosty u niebieskiej rzeki...

Widzisz? To tędy o świtaniu prawie
Amorek złoty płynął uśmiechniony —
w złotych rączynach — jak maleńkie dzwony —
niósł skrzypki w słońca skrzydlatej oprawie.

Cóż grał? Paniczu — słyszałeś ty pewno —
kiedy dotyka lilja srebrnym licem

skroni jeziora sennego księżycem?
Słyszałeś mgłę ty pod gwiazdami zwiewną?

Albo jak w różach letniego poranku
rosa zieleni jak uchyla dzbana —
a świt rumieni ją słodkim: kochana —
gdy zapłoniona tchnie: całuj kochanku...

Konwalje tyle pachnące w oprysku
modlą się: zostań — — i mdlejące klonią
naszyjnik srebrny. Już tam ku łąk skroniom
ostatnie skierki rozsypane w błysku — —

Uśnij — — ten ranek przypomniał zbyt wiele — —
płaczesz? Wiem — dziecko — to łzy mimowolne...
A ponad tobą ciemności topolne
są odpocznieniem w drodze słońca — w dziele.

ŚMIERĆ.

Mów mi o sinym deszczowym ranku —
kiedy w skroplonym oknie
twarz blada się ukaże
i mierzy opustoszałą drogę błotną

przerażonym wzrokiem — — —

Na oknie
w złotym dzbanku
lilja pochyla skroń samotną —
i jak dwie lampy te dwie twarze
w zwierciadle okna śnią głębokim — —

Mów mi o wichrze —
tłukącym wierzby siwe —
starce przydrożne
i o tym strasznym westchnieniu
o tej ogromnej żałości
która te jasne i najcichsze
wykuła w szybie — jak smętliwe
mewy bezdrożne — —

Mów o tym pięknym widzeniu
jakowe miały w samotności
że się nie mogły odróżnić i zbudzić
jeno się mogły łudzić — — —



ŚWITANIE.

Obsiedli stół przyjaciele —
późna — hulaszcza biesiada:
trefnisie i bohaterzy
przy słowa radosnym dziele — —
kto czuwa — kto zmysły strada?
— Zapijmy głupią niedzielę!...
A on sam jeden — choć życia tak wiele —
tylko sam —
— chłodna u okien modrość się skrada —
od leśnych muraw — od leśnych pobrzeży
tak pachnie trujące ziele — —
— twarz we mgle sina i blada.
. . . .

Zanućcie — zanućcie nam!
tylko kwiat — co się w borze śnieży —
zdepczcie — stratujcie — — aż buchnie krwią.

Niebios słoneczna ballada:
amorki złote oczki trą
i porzucają róże z obłokowych wieży...

Zostanie po tobie uśmiech sam
i płatki róż... chwila do wieczności należy —
na nią się składa.
. . . .

Położyć głowę na tym cichym stole —

gdzie ona kiedyś rzuciła się wznak
i włosy jej złociste padły
jak ziarno słońca w zamkniętej stodole — —
i niech się ozwie wtedy pierwszy ptak
i ranek świtny uśmiechnie się blado —
a ja — pijany snem
czy smutkiem zbladły —
wyjdę w błękitną — bezludną ulicę
i niech się na mnie kładą
złociste — złociste jesienie — — —

. . . .

Słońce — wszerz słońce na okręgu świata —
białe w żarzącym płomieniu czereśnie — —
śni się przedziwnie — jak w dziecięce lata —
że ktoś cudowny całuje tak we śnie...

Wiew nosi w każdej słonecznej iskierce
odurzający zapach czereśniowy — —
ktoś kładzie uśmiech rąk na ciche serce
i skroń przytula do samotnej głowy...

Żrenice słońca łunami rozwarte —
białe w żarzącym płomieniu czereśnie — —
mówcie — kto tutaj tajną czynił wartę
i łez naszyjnik rozerwał tak we śnie — — —

W ZACHODZIE.

Białe brzozy na cmentarnym łanie —
smutne dzieci ziemi — —
ciałkami różanemi
biegą z wiatrem w liściach taić łkanie.

Omotają wiotkiemi rączyny
kamienie żałobne — —
niby sierotki drobne —
naraz zmierzchu chłód je przejmie siny — —

Więc się tulą i patrzą zza świtek
oczętami lęku — —
Idziemy po maleńku
po ubóstwo piękne — nie po zbytek — —

I gdy kiedyś kamień mi położą —
o cmentarku wzgórzny!
chciałbym spocząć podróżny
tu pod dziecin tych różaną zorzą.

Wiosna — lato — — przykryją zamiecie —
wiatr rozniesie kości — —
Ej — proszę jegomości —
niech nademną zapłacze brzóz dziecię!

ZAMEK.

Gwiazdami patrzę
które wylatują w głąb mierzchłą —
szybkie — jak lance
w błyskim cwale —
jak okrzyk lotów —
niesionych u zbroi
w zgiełk — —

Tęsknoty najzaświatsze
już u kołyski wiały mojej:
nuciły mi o Chwale — —
A potym ciszą to błyskanie pierzchło —
jak cień łoskotów — —
i dałem skronie całować kochance —
miłujący gwiazdy — —
i zaklinałem ją na żywy mór —
na śmierć —
ażeby mogła w siebie tchnąć
proroctwo — — —

. . . .

I oto sam jest — czuwa
mój wytęskniony wzrok —
podąża w góry z gór — —
i ma tam zżąć
najsłoneczniejszą perć

z onych urocznych przeczutych oczekujących mnie!

Wtedy umrę — —

A poza ziemią — której biorę
proch —
której oddam się prochem —
jest bezmiar — bezbrzeże — —
I wiem — wkrąg śnią powietrzne
albo na wichrach orkanne
sine okręty —
i oto skrzą się bezsennym wieczorem
kwitnące świateł wieże —
w sobie słoneczne —
skrzydlate — zaranne — —

Gwiazdy —
jesteście — jak kaskadowy szloch
echowy — — upadające szlochem
u nóg Nieskończoności świętej — —
— i konacie w milczeniu...

MATCE.

Więc idziesz ze mną i te ślady krwawe
synowskich nóg
poznajesz w bruzdach skał — —
więc zbyłaś trwóg —
że wicher mię w przepaście rwał —
w próżnię — — i ludzką już przejrzałaś sławę?

— Może się dziwisz — że tak stoisz przy mnie —
łaknąca pić
te krwawe ślady burz — —
nie będę kryć
przed Tobą tych skalistych róż —
bo mi tak czasem źle w wichrowym zimnie — —

— Od cudzych okien zacienionych kratą
cóż można chcieć —
zbyłem się od nich chceń — —
krwi mojej śniedź
może rozdepczą w jaki dzień —
że tak gardziłem społeczną zapłatą — —

. . . .

— Ale ty nie bój się o mnie: szczęśliwszy
samotny znój
i bezimienny twór —
sam idzie w bój

szaleństwem rozwichrzonych piór —
tęsknotę panu na serce rzuciwszy — — —

JESTEM.

Jestem i kocham to moje istnienie
między gwiazdami i skryptu foljałem — —
— Kiedy przed chwilą lampę zapalałem
drżały mi ręce i drżą — — Poprzez sienie
sunąłem myślą raczej — — Z ludzi gwaru
wybiegłem — niby przebudzon piorunem — —
i oto ręką po czole mym sunę —
oblekam ciało dotknięciami paru — —

Cicho... Śród czarnych szaf — książnic od wieka
mysz zaszeleści — — O bracia szczęśliwi:
Duch — w skrypt zamknięty — choć myszy pożywi
gdy braknie zębu — mądrości człowieka — —

MOJE WINOBRANIE.

O nie mów serce że ja — kiedyś — będę
między ojczyzny pogrzebion kurhany:

za moim dzielnym bezgranicznym pędem
kwiat wybłyskuje nikomu nie znany — —
droga stepowa daleka — mój miły — —
Przelatam ziemię nieznany — niebyły.

Narwij mi dziecko żywicznej jedliny —
niechaj się kryje twarz w zgaszeniu sina — —
a tej ostatniej bezbronnej godziny
nie szydź: mniszego nie wpuść manekina!

. . . .

Tam — gdzie pachnącej ułamiesz mi chojny —
złocisty wyciek w świeżych ranach stanie —
więc go utoczcie w ten wieczór spokojny
i wspominajcie moje winobranie — — —

Hej — potknął mi się koń — pierś strzaskało — —
za mało drogiej krwi — za mało!

JESZCZE BYM PRAGNĄŁ...

Jest dziś noc taka — o jakiej umierać
słodko — — — w księżycu bladawym zatonąć

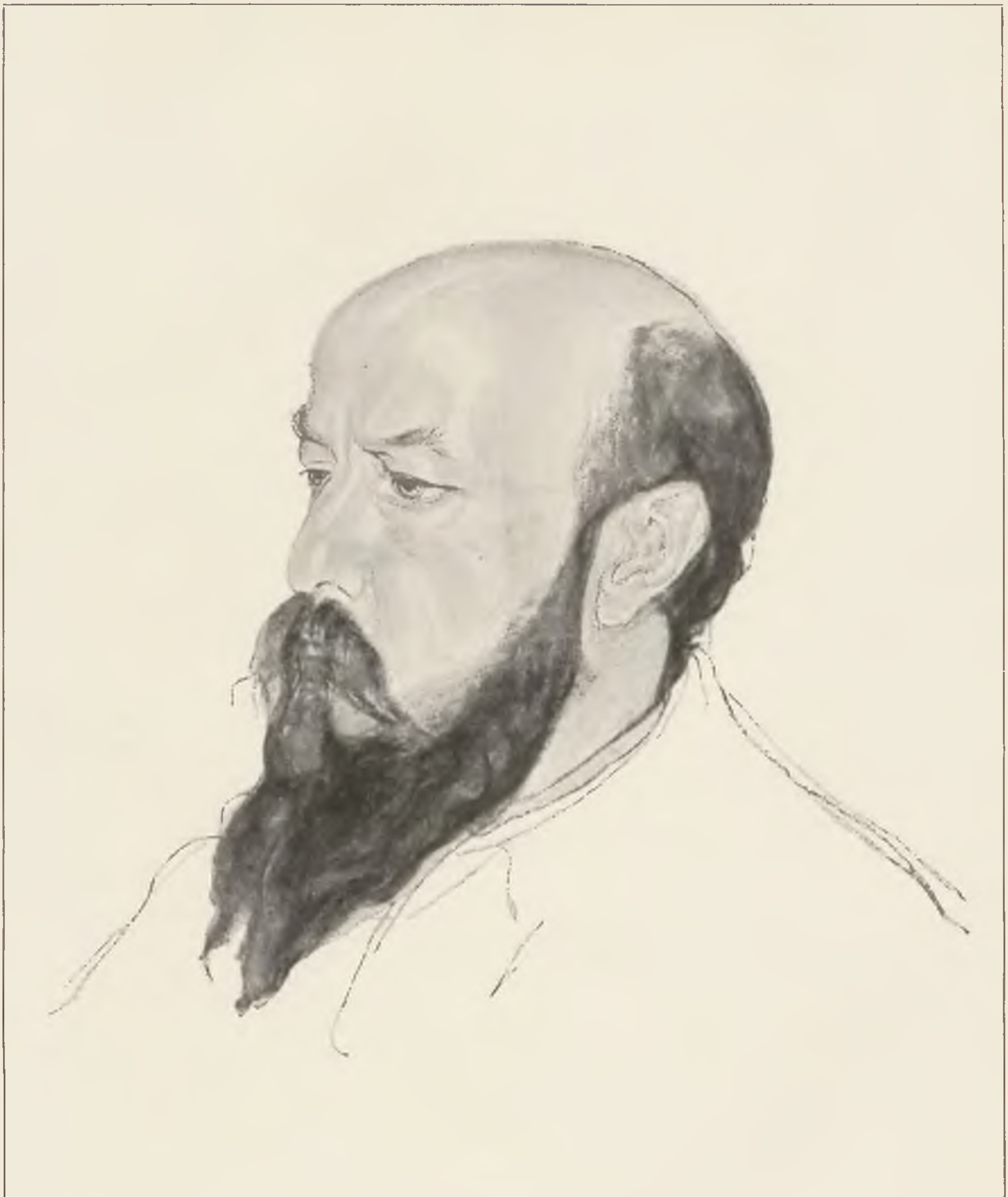
i jednym pąsem bzu sinego spłonąć
i wiedzieć tylko — — że z Tobą umierać — —

— A oto byśmy omotali dusze
w te księżycowe białe pióropusze
i w bez liljowy — — Ach smutno umierać!

Jeeszcze bym pragnął spotkać noc niejedną
w białej opończy na karym biegunie —
jeszcze pohuśtać się w miesięcznej łunie
i wyczarować słowami niejedno — —

Jeszcze nad Tobą schylić się obłędną —
czuć — jak na ustach bzy liljowe więdną —
czuć — jako śpiewa i łka w nas niejedno...
. . . .
. . . .

WYBORU · NIEZNANYCH · PISM
ZYGMUNTA · ZENONA
IDZIKOWSKIEGO
ZAKOŃCZE-
NIE.



„PORTRET TADEUSZA MICIŃSKIEGO". JAN REMBOWSKI.

XIĄDZ FAUST.

POWIEŚĆ.

V. WTAJEMNICZENIA MITRY.

Tajemniczo-boskim ekstatycznym jest wpływ ognia, buchającego z olchowych szczap na kominku!

Budzi się dawny Aryjczyk czy Sumeryjczyk, uginają się kolana przed bogiem ognia, który żywie w nas. Najstarsza i najgłębsza msza, jaką odprawiał człowiek! magnetyzm rozlewający się po jestestwie naszem — wywołuje nastrój świętości — Ofiary i Przemienienia.

Komnata, w której był Piotr, składała się z kilku cel, w których usunięto ściany przedzielające; na suficie widać było jeszcze wręgi, nieistniejących już murowanych ścian. Okna gotyckie — z witrażami, niektóre zakryte kotarą.

Mnóstwo ksiąg na półkach, ciągnących się wzdłuż wszystkich ścian — od podłogi aż hen po sufit; stół wielki zastawiony doniczkami begonij, księgami w starych skórzanych in foliach, tudzież cały nieład pracy: rękopisy, nożyki, pióra gęsie i nowoczesne. O naśladowaniu Jezusa w pysznem tłomaczeniu polskiem z XVI wieku i z miniaturami ręcznemi; na sąsiednim stole ustawione chemikalja różne, retorty, lampki. Zwieszały się ze ścian mchy podbiegunowe, nadzwyczajnym szatańskim rysunkiem straszyły skóry boów jawajskich, maski z Kambodża, Peru, Maori; tkaniny malowane, krisze zatrute. — Zapalił mu Xiądz światło acetylenowe, zajrzał Piotr przez tubę mikroskopu,

i ujrzał przecudny rysunek tkanki. Ksiądz zajmował się badaniem choroby raka. Znać było tu wszędzie demonizm życia, oczy rozwarte na niezgłębioną otchłań, upodobanie w niebezpieczeństwach. Napisy na skórach zwierząt głosiły, że były zdobyte w dżunglach Indyi, w sawannach Ameryki.

Na księgach napisy, kiedy i gdzie kupione — a było to najczęściej miasto Kraków. Ale były i księgi z Bombaju — i noty londyńskie. Widać, że Xiądz mieszkał długo na wielkim świecie i mozolnie zbierał swą bibliotekę.

Biblioteka służyła głównie do badań religijnych, więc były tam dzieła o Chaldejach Smitha, Lassena Indje, Boissier'a badania poganizmu, byli badacze jak Jeremias, Loisy, Chwolson, byli filozofowie dawni, jak Chryzyppus, Plato, Jamblichus, Hieraklit, Lucjan ze Samosaty, i średniowiecze Kuzona, Mirandoli, Kopernika, całe ściany zajęte przyrodą — Bill, Darwin, Lyell, Suess, Strasburger, Kerner, wydania świętych ksiąg Wschodu i kilkaset tomów żywotów świętych przez Bollandystów; stosy pism naukowych, ezoterycznych — — — i nowi myśliciele jak Bergson, Poincaré, Sorel, Blondel, Driesch.

Z dzieł polskich zauważał Piotr, rozglądający się po tych cudach z wypiekami na twarzy — Bibliotheca fratrum polonorum, literaturę emigracyjną z Mochnackim, tysiące ksiąg z okresu romantyzmu i pozytywizmu, dokładne ogarnięcie również tak zwanej literatury dekadenckiej, z której buchają wulkaniczne żary i prawdziwe moce twórcze. Wśród najmłodszych — zauważył nieznane nikomu Introibo ad altare Lwa

Mierzejewskiego. Teraz dopiero wyczuł Piotr bezmiar swej tęsknoty za wyrośnięciem wzwyż, za dokonaniem swego czynu i swej myśli...

Z siódmej klasy poszedł już do boju — i zamiast wtajemniczać się w misterjum chemii Mendelejewa — stanie się procesem chemicznego rozkładu w fosie przyfortecznej zdeptany grubymi butami sołdatów. Z nienawiścią spojrzał na rozwartą Biblię, wziął do ręki największego z wrogów chrześcianstwa Kelsosa, filozofa z II w. po Chr. który potężniejsze wymierzył ciosy krzyżowi niż Nietzsche w Antychryście. Przerzucał wzgardliwe zarzuty „temu tłumowi nieuków." — Oczy jego padły na miejsce wielkiej ciszy, w którem jakby godziły się wszystkie kulty świata schodząc ku ziemi i od ziemi tam wzwyż. „Droga rozwoju idzie przez planety, jak o tem mówi Platon, świadczą również misterja Mitry u Persów. Wyobrażenie dwóch ruchów na niebie, planetarnego i gwiezdnego oraz przejścia duszy przez takowe. Schody z wysokimi bramami. Pierwsza brama jest z ołowiu, druga z cyny, trzecia ze śpiżu, czwarta z żelaza, piąta z metalu mięszanego, szósta ze srebra, siódma zaś ze złota. Nad temi jeszcze drzwi ósme. Pierwsza przypisana Kronosowi, przez ołów znamionując powolność tej planety; druga Afrodyty, będąc porównana z nią jasnością i miękkością cyny; trzecia Zeusa — „ze śpiżowym progiem śmierci"; czwarta Hermesa, gdyż, spełniając wszystkie prace, żelazo jest giętkie i wytrwałe; piąta Aresa, z mięszaniny drzwi utworzone; szósta księżyca — srebrna; siódmem jest słońce, złoto naśladuje jego barwę. Przyczyna takiego

podziału gwiazd jest częścią przyrodnicza, częścią muzykalna — teozofia Persów to rozwija."

Wprawdzie Kelsos podaje te misterja dość mętnie i jakby z trzeciej ręki. Ale na wyobraźnię Piotra podziałało to, jak tok elektryczny.

Już nie mógł owładnąć sobą Piotr zawarty dotąd za bramą z ołowiu — za bramą, dokąd wchodził młodzieńcem, a wyjdzie trupem! nie znał żadnych innych bram życia! Korzystając, iż Xiądz wyszedł zarządzić posiłek żandarmom i jemu, wszedł do drugiej komnaty, tam paliła się świeca.

Wzrok Piotra prześliznął się po portretach, lecz szczególniej zajął go obraz o ponurej grze fizjonomij: w sali oświeconej gromnicami zastawiony kryształami i jadłem stół — cudna kobieta bawi się różą, zaś rozkochany w niej mężczyzna — przebija hostję sztyletem...

Mężczyzna w świetnym papieskiej gwardyi oficerskim mundurze...

Wpatrzył się w twarz bladą straszną mężczyzny — i zdało się mu, że jest to nikt inny tylko sędziwy dziś gospodarz, z twarzą młodzieńczą, dumną, piękną, zmysłową...

Dalej były obrazy z powstania r. 63, portret pułkownika Sierakowskiego z napisem: Dla Xiędza Fausta. W kącie stała trumna, w niej skórzana poduszka i trochę siana nakrytego przeście radłem. Czyżby Xiądz istotnie tam sypiał?

Owładnęła nim myśl ponura zimna, jak wierzchołki Kaukazu nad burzliwą zaworą chmur. Wiała z otchłani w jego duszy bezmierna nicość wszystkiego.

Wtem usłyszał kroki Xiędza, i jak żak bojąc się kary, chciał uciec do bibliotecznej komnaty, ale się pohamował. Xiądz wniósł na tacy czajnik z wodą gorącą i herbatą, duże szklanice, kawały nakrajanego chleba razowego, rzodkiew, sól i piękne jabłka.

— Oto wilja więzienna, rzekł, pozwól pan ją ze sobą podzielić. —

Z apetytu, z jakim jadł Xiądz ten skromny posiłek, widać było, że karmił się on sam zazwyczaj jeszcze skromniej. Jabłka były dla Piotra zawsze istną radością życia. Wpatrzył się w nie, myśląc o wierszu Słowackiego:

„I krwią mnie Pan Bóg porównał z jabłonią,
„która nie idzie prędko pod obłoki:
„lecz ma ciężarny płód i słodkie soki."

Zawstydził się Piotr, ujrzawszy iż z pochylonej twarzy stoczyły się mu na podłogę duże łzy. Zawstydził się, ale objęła go oto wielka hardość:

tak, on schodzący zbyt młodo do mogiły nie będzie niczem niższy od sędziwych mędrców — wobec sprawiedliwości kosmicznej! gdyż jest tymże promieniem, który „w ciemnościach nie ginie."

Wtem zaczęła go dręczyć myśl, że Xiądz jest hipokrytą, kiedy zdobywszy wierzchołki myśli, podtrzymuje w innych wiarę w ciemny i martwy kanon dogmatów... Dlaczego np. na stole jest O naśladowaniu — i jednocześnie Giordano Bruno przeciw Kościołowi?

Wyraził to mniej więcej oględnie:

Nie lękałem się już śmierci w ogniu — wobec pewności, że stanie się ze mną coś metafizycznie okropnego, gdyby mnie on miał.

Usłyszałem nagle rozwarcie drzwi w ścianie od zamurowanych lochów — miałem tylko czas zawisnąć na krucyfiksie.

Nad grobowcem klęczały z marmuru wykute żony-nieboszczki upiora.

Uczyniło się nagle niewymownie straszno.

Postępowała kolumna fosforycznych mgieł.

Z niej wyzierało coś na kształt dwojga magnetycznych oczu — otchłani zimnych i piekielnych.

Wspomniałem pewnego mnicha który zapalał na sto kroków suknie kobiet wzrokiem — i ten przesąd o świecącej niebieskawym płomieniem ręce wisielca przy której pięciopalczastym płomieniu odnajduje się zatracone podziemne skarby.

Okropny był ból ramienia mdlejącego — gdyż byłem rozpięty na krzyżu, w miejscu Chrystusa. Nie byłbym już nawet zdolny wydobyć sztyletu — miałem runąć — gdy zadawszy mi te niecne tortury — on ściemniał się nagle — a małe drzwiczki do wsuwania trumny, wionąwszy lodowym chłodem — znowu się przywarły. I pojąłem, że on ujrzał mój cień z krzyżem na posadzce i udawał, iż mnie nie postrzega, wiedząc, że mu nie wymknę się.

W mroku przechodziłem, już nie ściszając stąpań, przez labirynt krużganków, sal i schodów. Z woni kwitnącej mimozy poznałem sypialnię Jej na wieży

jeziornej. Wszedłem i w odurzeniu rozkoszą, namacałem jej łoże.

Słyszałem oddech i poszept, jakby modlitwy w śnie. Co uczynić, aby nie wszedł on przez drzwi, nie mające zresztą zamku, ani klucza?

W kurytarzu do sypialni ustawiłem zwierciadło; ręką, z której sączyła krew, odbiłem na kwadracie magicznym oprawionym w posadzkę — moją skrwawioną dłoń o rozwartych palcach. Mówiąc zaklęcie: TU SĄ ZŁOŻONE LOSY — WROTA ROZWARTE — STRZEŻ SIĘ ŹLE STĄPIĆ — uczyniłem znak mój: kotwicę z dwiema gwiazdami. Powiodłem wzrok na me tragiczne szczęście (nie była to tragedja: było to coś więcej) na śpiącą królewnę moją — duszę — której szukałem oddawna w labiryntach tego pałacu.

Był że to sen? — Zapewne narkozą kwiatów odurzona, zapadła w letarg, leżała naga na bezcennych kaszmirach — oglądałem jej cudne wyrzeźbione dłutem Praksytelesa kształty.

Rozplotłem ogniste — miedziano-brązowe jej włosy, strojąc je w fioletowy kwiat mandragory. Tuliłem do oczu swych ten las płomieniejący (coma capitis Tui sicut purpura, Cant. 7 v. 5) — czułem, że serce me dźwięczy jak kaskada odmarzających wód.

Kiedy rozkwitły kwiatem granatu jej usta — położyłem się obok, zrzuciwszy misterną kolczugę, chroniącą mnie od nagłych pchnięć.

Lampa świecąc tuż nad łożem, odbijała arabeski złote na zasłonach ciemności.

Leżała obok stara pergaminowa księga kabalisty Chajim Vidala, zgłoski jej były czerwone, jak akty bizantyjskich cesarzów.

Począłem czytać opis Morza Piekieł, głębin, Gór księżycowych — Miast Babilonu, Gomory, Kainy, i dziwnych zamieszkujących je tworów.

Rzuciłem wzrok przelotny na anielską twarz uśpio-nej; rozwarte szeroko, szkliste jak agat jej oczy — i twarz zmieniona straszliwie — twarz Meduzy!

Wstała...

Jęła krążyć, wytrząsając nożem jadowitym z tak błyskawiczną szybkością, że w oczach moich uczynił się wir zjawisk.

Nad migające wichury wężów, wzniosły się trzy głowy — trzy oblicza — jedno ludzkie pełne me-lancholji — wtóre w Demonicznej zwierzęcej orgii — obejmujące tamto kłębami gadów — trzecie Boskie podobne do groty błękitnej w mroku — spokojne jak Nirwana.

Wtem zegar niebijący ćwierć wieku, wybił równo i zwolna troje metalicznych rozjęków.

Nie mogąc znieść tej hydry w powietrzu, która krążąc zataczała apokaliptyczne tęczowe koła — wzią-łem księgę i wraz z kabalistą obliczałem, że siedem-dziesiąt języków zna embrjon w łonie matki, nauczany przez Anioła Gabrjela. A potem w labiryncie utraca pamięć i zaczyna swe życie ziemskie już w Dolinie łez.—„Et intelligentes fulgebunt, sicut splendor firma-menti — i pojmujący rozbłysną jak majestat firma-mentu", powtarzałem za Danielem, roniąc łzy.

Wpłynęło nie wiem ile wieczności w ten straszny foramen Abyssi magnae... Wtem zrozumiałem, że pałac cały był już objęty płomieniem, ziemia zaś trzęsła się od zapadających marmurowych sklepień i huczała. — Przez otwarte okno wypełnił komnatę zapach rododendronów zmięszany z dymem. Wyskoczyłem na balkon i patrzyłem w mrok czarny rozświetlony łuną. Z okna tej wieży był skok tylko w głębinę morskiej zatoki, gdzie upiór hodował dawniej ślizkie mątwy. — — Chciałem ponieść ze sobą mą ukochaną, lecz jej już nie było — rzuciła się widać przez okno w zatokę. Rozwarłem raz jeszcze księgę Kabały — i czytałem o Bezalielu — że „może on przestawiać liczby te, przez które stworzone zostały niebo i ziemia — i spala zasłonę na górze, którą są przykryte wszystkie narody.“

Żar buchał od podłogi — płomień zagłady huczał z dolnych pięter, jak z babilońskiego pieca.

Nie mogłem uratować już mej duszy — pozostawał mi tylko ratunek mego fizycznego ciała.

Po cynowej rynnie można było zejść. Zacząłem opuszczać się w dół, raczej staczając się, niż schodząc. Lizały mię ogniste języki objętego pożarem pałacu, nademną kłębiło się morze ognia i dymu, pożerające dach.

Na skrawku ziemi wśród skał — stanąłem nie spoglądając za się, biegłem aż po rozmodlone odwieczne eukalyptusy, które stały nad morzem, rozżarzonem w gorejący rubin.

Wicher, zmieniając się chwilami w huragan, wył.

Wszedłem między wspaniałe wiązy i araukarje, zrywając pękami odurzające kwiecie — nie chcąc myśleć już o tem, co straciłem: bo czyż można pojąć, że straciło się więcej niż zawiera cały świat?

W załomach skał ujrzałem łódź.

Porwały mnie w otchłań wirów — wielkie, jak Lewiatan, fale, rzucały wyżej niż wierzchołki nadbrzeżnych drzew. W jednem mgnieniu oka, stojąc na krawędzi syczącej jaskini wodnej usłyszałem przeraźliwy okrzyk: w oknie wieży o mnóstwie kondygnacji postać upiora. Ramiona wyciągał ku mnie, lecz wicher wciągnął go wgłąb płonącego pałacu.

Nagle ktoś wszedł do mej łodzi. Drgnąłem. Na sercu mym rozpięły się tęcze — bo oto przy mnie spoczywała Ona, moja Dusza, kierując łodzią przez czeluście wyjącego morza.

Pałac runął w zgliszczach — nim wypłynęliśmy z wyjących głębin tego morza piekieł. Patrzyliśmy na spokojnie świecące gwiazdy — wiedząc że ku nim wracamy.

TADEUSZ MICIŃSKI.





„LE BOIS SACRE, CHER AUX ARTS ET AUX MUSES“. P. PUVIS DE CHAVANNES.

PROBLEMAT SZTUKI.

Pisać o Sztuce dla narodu, który ani muzeów ani pomników właściwie mówiąc niema; pisać dla publiczności, która zaledwie biernie lub przypadkowo obznajmiona jest z tym przedmiotem — jestto nie pisać o Sztuce ale objawić ją.

Niemniej — pisać o Sztuce dla polaków i po polsku w chwili, kiedy bardzo niedawno część ta intencji i pracy obwołana została za niewłaściwą, szkodliwą, i osławienia godną: owszem tak poniżonemu przedmiotowi obywatelską godność zyskać — jestto nie pisać o Sztuce ale uzasadnić ją i postanowić.

CYPRJAN NORWID.

Wszechobecność Sztuki.

Sztuka jako zasadniczy, autonomiczny kształt Życia powstawała równolegle do najpierwotniejszych zgoła stadjów w tworzeniu się psychiki ludzkiej. Wykopaliska jaskiniowe z czasów przedhistorycznych i egzotyczne do ludów bytujących jeszcze po za linją cywilizacji podróże stwierdzają istnienie Sztuki wszędzie, gdzie człowiek nad antropoidyzm wznieść się jeno zdołał. Czarodziejską kolebką dla życia duchowego ludzkości jest Sztuka; twierdzą i opoką dla stającej się mocy narodów; niezłomnym testamentem pracy dokonanej.

Na rozstajnych drogach kultury materjalnej i duchowej.

Już na poziomie pierwotnej, krwawej walki o byt z żywiołem natury zaczęły się różnicować życiowe potrzeby człowieka: obok biologiczno-zwierzęcych,

z potężną egzekutywą w postaci wiecznie czujnego widma cierpień cielesnych (kategoryczny imperatyw głodu!) — kierują działalnością ludzką inne, o wyraźnym charakterze społecznym: zwiastują one samorodne budzenie się odruchowych jeszcze uczuć i skłaniają człowieka pierwotnego — nie tak brutalnie, lecz nie mniej kategorycznie — do akcji zaczepnej już, do zdobywania harmonji, błogostanu, szczęścia.

Głos pierwszych obudził w chaotycznych, mgławicowych siłach instynktu zwycięzką władzę rozumu i oto homo sapiens począł poznawać, by z pomocą wynalezionych narzędzi opanować intelektualnie i technicznie naturę — począł kłaść fundamenty pod wspaniałe Colosseum dzisiejszego przemysłu, wiedzy oraz kultury materjalnej wogóle. Potrzeby zaś drugiej kategorji — duchowe, arcyludzkie — odkryły w instynkcie pierwotnym władzę intuicji twórczej i zapoczątkowały odrębną, bohaterską sferę działania — Sztukę.

U źródeł Sztuki pierwotnej.

Sztuka pierwotna wyrasta z budzącej się już (w formie potrzeby obcowania na gruncie tożsamości wzruszeń) akcji społecznej, więc z potrzeby wyrażania uczuć, — przedewszystkiem jednak z wrodzonych skłonności mimetycznych. Najpierwotniejszą, odruchową reakcją na działanie magicznie potężnego czaru natury była dążność do nadania sobie i swemu otoczeniu tych walorów harmonji i piękna, jakie intuicyjnie odkrywano w chaosie zjawisk. Pierwiastek naśladownictwa wyraził się głównie w zakresie sztuk plastycznych, które powstały na tle tego mimetyzmu, pokrewnego stanom często obserwowanym u zwierząt

i owadów: upiększanie własnej osoby i zdobienie prymitywnymi środkami przedmiotów opierało się w istocie na motywach i pomysłach czerpanych z wartościowanej już estetycznie natury.

Rozwój uczuć i środków wyrażania.

Ale naśladownictwo, jako metoda artystyczna, jest wykluczone tam, gdzie uczucia bezpośrednio a twórczo starano się wyrażać za pomocą dźwięku i gestu — prototypów poezji, śpiewu, muzyki i tańca. Te promienie Sztuki rozwijały się i potężniały li w miarę wzrostu i rozwoju wysubtelnianych pracą ducha a potężniejących uczuć (religijnej, pogańskiej czci lub lęku przed groźnym Niewiadomem, zachwytu i szczęścia, tęsknoty miłosnej, smutku po utracie najbliższych) — — I rozkwit sztuk plastycznych możliwy był zresztą tylko w tych warunkach, że cały w zagadnieniu Sztuki wogóle punkt ciężkości przesuwał się z genetycznie ważnego momentu naśladownictwa na kwestję nieustannej a równoległej twórczości w sferze uczuć i w sferze środków wyrażania.

Indywidualność i twórcze elementy.

Przedmiot Sztuki nie leży w płaszczyźnie realistycznego odtwarzania uczuć lub natury. Nawet wtedy, na pierwotnym poziomie uczuć, moment naśladownictwa nie odgrywał roli pierwszorzędnej: na stylu bowiem ornamentu lub pieśni, na wyborze choćby i wyrazie przedmiotu kładzie zazwyczaj swe piętno budząca się indywidualność, rasowo-plemienna odrębność, wreszcie nieprzewidzialna skala zdolności intuicyjnych. Nawet deterministycznie panujący żywioł natury całkowicie nie tłumił twórczych, wolnych pierwiastków żywiołu indywidualnego.

. . . .

Stuktura psychiki współczesnej.

O niezmierzone pola pracy, która wrosła w olbrzymiejący kształt naszej psychiki, dalecyśmy od tych nizin. Produktem i fenomenem natury będąc, jako materja ograniczona („rzeczywistość“) — przeciwstawiamy się jej jako m o ż l i w o ś ć: nieograniczona, irracjonalna, wolna. Zależni od natury fizycznie — przezwyciężamy ją twórczością ducha. Dzisiejsza psychika — to synteza materji i możliwości, a więc rzeczywistość czynna, świadomie opanowana, twórcza.

Punkty martwe dzisiejszej kultury duchowej.

Zastrzegam się, że mówię o psychice współczesnej, jako o m a x i m u m jakościowego zwycięstwa, a nie o statystycznym człowieku cywilizowanym, w którym wszystko od zintelektualizowanego uczucia i schematyzującego umysłu do automatycznych, przypadkowych, szarych form współczesnego życia — wszystko jest jakimś biernym pozatwórczym chaosem, przemijalną li materją, gasnącą chwilą. Cały trud i radość życia duchowego jest dla reguł dzisiejszej cywilizacji — wyjątkiem! Ztąd ta nienawistna obcość pseudokulturalnego tłumu względem Sztuki a jednocześnie bohaterskie, wszystkiemi drgnieniami serca, wszystką krwią oddanie się Jej współczesnego Artysty-samotnika, lekceważonego Twórcy i prawodawcy Życia. Gdy na poziomie psychiki pierwotnej Sztuka była udziałem wszystkich — dzisiejszy tłum pozostaje po za bramami Jej świątyń, po za kulturą duchową, mało przyczyniając się zresztą do rozwoju kultury technicznej, która znów jest dostępna tylko dla nieznacznej tego tłumu części, uprzywilejowanej ekonomicznie. Na rynku zbytu Sztuka jest jedną z gier towarzyskich i rozrywek!...

Sztuka jako T w ó r c z o ś ć, jako objawienie głębi i powagi życia, jako życie samo w procesie jego stawania się i walki z chaosem żywiołu — jest ojczyzną duchów nielicznych, niestety, a osamotnionych, walczących pod berłem odpowiedzialności dobrowolnej w imię wspólnych zwycięstw.

Arystokratyzm Sztuki.

Czynny stosunek psychiki do całokształtu życia wyraża się przedewszystkiem w jej zdobywczości poznawczej. Uświadamianie sobie bytu ze strony stających się możliwości — nie w schematycznie konstruowanej przestrzeni lecz w ciągłem i wzajemnem przenikaniu żywych faktów świadomości reprezentujących poznawaną lub możliwą rzeczywistość — graniczy już bezpośrednio z dziedziną twórczości, z krajem najwyższych i najśmielszych wzlotów. Wizja świata rzeczywistości możliwej, to jakby ostatni szczebel do wcielenia tęsknoty ducha nostalgicznie ku twórczości dążącego. Oto poznanie czynne, absolutne, idące nie drogą mechanizmu myśli i względnych prawd naukowych lecz ukrytemi ścieżynami intuicji, która, jakgdyby wewnątrz świadomości, chwyta wieczny ruch, wieczną płynność życia, śledzi ciągłe stawanie się jaźni, przenikającej w głąb istnienia poprzez chaos mimowolnych postrzegań. Procesowi narastania duszy towarzyszył zawsze rozum z pochodnią tymczasowych prawd i konstrukcji schematycznych — ale myśl skarbnicą jest zdobytych wartości — nie kuźnią życia duchowego. Sztuka, Wiedza syntetyczna, twórczość wogóle, nie pojęciami myślowemi mierzy bezmiar horyzontów i głębin życia, lecz intuicją, która jak twórczość, jest wynikiem i wyrazem dynamizmu życia.

Poznanie intuicyjne a twórczość.

Odtwarzanie stanów świadomości.

Naiwny pogląd na Sztukę chce widzieć w utworze artystycznym wierną lub „upiększoną“ kopję natury. Pozornie taki logiczny skok poprzez dzielącą sfery odtwarzania i twórczości przepaść wydaje się możliwym i racjonalnym, gdyż artysta istotnie odtwarza swoje stany świadomości. Ale w procesie twórczym świadomość nie odgrywa wyłącznie tej biernej i negatywnej niejako roli, jak zazwyczaj w analitycznie-myślowych, pozatwórczych stanach — roli morskiej latarni na mrocznym oceanie zjawisk — przy oświetlaniu jednych, a usuwaniu w mrok podświadomości innych wrażeń. Czynna, spontaniczna świadomość twórcy — to życie samo, to jego indywidualność rytmicznie płynna, stająca się jaźń — —

Suggestja wzruszeniowości przeżyć i wspomnień.

Stany świadomości — nawet gdy twórczość powstaje na tle wibracji jaźni pobudzonej z zewnątrz — nie są bynajmniej równoznaczne z rzeczywistością konkretną, przez świadomość reprezentowaną; przerastają one złożoność bodźca, obejmując nie tylko wyobrażeniowe lecz i wzruszeniowe czynniki. Z wibracji wzruszeniowej powstające myśli, uczucia, wizje—łączą się z pierwotnym obrazem bodźca, zmieniają go, stanowiąc wraz z nim inną, nową rzeczywistość. Ta „ekwacja osobista“ (w nauce odejmowana od obliczeń) w sztuce stanowi najcenniejszą wartość, gdyż najbezpośredniej wyraża piękno, jako wibrację ducha. Wzruszenie bowiem daje się suggerować całkowicie, a obraz podlega odtworzeniu tylko częściowemu i jest jakby rusztowaniem dla wywoływanych w duszy współtwórcy identycznych (dzięki suggestji wzruszeniowej) stanów estetycznych.

Pod powierzchowną warstwą świadomości refleksyjnej kryją się bogate, głębokie pokłady wzruszeń, które zaginęły wyobrażeniowo, a istnieją w formie redukcji emocjonalnej — i w twórczości przez halucynację pamięci odnajdują swoją postać symbolicznie podobną lub rzeczywistą. Te mroczne stany podświadomości, „czucia rodzajowe zapomnianego" *) są potężnym motorem procesu twórczego — może właśnie dlatego, że pierwiastek pamięciowy, dominujący przy odtwarzaniu, tu ustępuje już całkowicie miejsca suggestji wzruszeniowej.

Bodziec zewnętrzny, który w tych faktach świadomości grał pewną rolę, był powodem możliwych nieporozumień co do stosunku między Naturą a Sztuką; ztąd potrzeba dłuższego wyjaśnienia różnicy między „odtwarzaniem stanów świadomości" a „odtwarzaniem natury". Ale naiwność poglądu na Sztukę, gubiącego twórczość w naśladowczem kopjowaniu rzeczywistości, uwidocznia się całkowicie i niewątpliwie dopiero przy ogarnięciu całego obszaru światów wielkiej Sztuki.

Suggestja wzruszeniowości wyobraźni twórczej.

Suggerowanie wzruszeniowości przeżyć oraz tęsknoty, jako wzruszeniowości wspomnień nie wyczerpuje wszak ogromu wszystkich warunków i zamierzeń twórczości. Poza intelektualizacją tęsknoty i przeżyć jako rzeczywistości dokonanej, Sztuka realizuje tęsknotę wyobraźni twórczej, ucieleśnia wzruszeniowość idealistycznych wizji, — czerpiąc materjał ze sfery

*) P. artykuł E. Abramowskiego „Czucia rodzajowe jako pierwiastek estetyki i mistycyzmu". („Przegląd filozoficzny", rok XIV. zesz. II, str. 178-185.)

m o ż l i w o ś c i, z fantastycznych światów, które są zwierciadlanem może odbiciem niewidzialnej jeszcze przyszłości — antycypacją jutra — rzeczywistością tworzącą się! —

Suggestywna wola twórcy.

Na całym obszarze Sztuki panuje swoboda. Niewolnictwo, z którego kultura materjalna wyzwolić dotąd nie może doskonale automatycznego „członka społeczeństwa" — tu nie istnieje. Ograniczając materję formą — stwarzamy wolność, życie! Forma jest więc życiem materji. Emanacja spotęgowanego poczucia bytu wyraża się w twórczem promieniowaniu duszy, w realizacji nazewnątrz subjektywnych wzruszeń, w woli twórcy do przekształcenia, oczarowania dusz ekstatyczną radością i powagą własnej jaźni.

Realizacja możliwości. Stające się życie.

Wewnętrznym gestem, znakiem magicznym poprzez dźwięk, kształt, poprzez wibrację atomów, poprzez nieuchwytność piękna, poprzez milczenie ekstazy, poprzez rozkosz zasuggestjonowanej, współczującej jaźni — dusza wypowiada swą treść wzruszeniową; wychodzi niejako nazewnątrz i ponad siebie, materjalizuje się i wysłonecznia, by jako n o w y b y t istnieć w duszach złączonych węzłem wzajemnego pragnienia a posłusznych suggestywnej woli twórcy. Określając kształtem widzialnym to, co w jasnowidzeniu było energją potencjalną życia, twórca poprzez stałe odtąd formy widzenia odkrywa duszom, łaknącym piękna, perspektywy w nieskończoność i wieczną płynność życia, rozwija i realizuje możliwości tworzącej się psychiki, objawia życie stające się, tworzy życie!...

Dwie z jednej nieskończoności w drugą idące drogi: przeszłość (kultura wieków odbita i jakby skrystalizo-

wana w psychice twórcy) — i przyszłość, tworząca się wśród mgławic możliwości — przecinają się w pewnym momencie konkretnym, ograniczonym co do przestrzeni i czasu. Tym punktem skrzyżowania dróg ducha jest „dzieło sztuki".

Sztuka jako problemat życia duchowego ludzkości.

Problemat Sztuki nie może ograniczać się do tego poszczególnego faktu, ani do ich kompleksu, lecz ma objąć drogi zwycięzkiego pochodu psychiki, która się stwarza i tworzy, i na tle stającej się mocy ducha ludzkiego widzieć i wielbić Sztukę, jako najpełniejszy wyraz tej mocy, związany z nią węzłem wzajemnej a stałej zależności, idący równolegle w przyszłość.

Jako problemat życia duchowego ludzkości, Sztuka nie powinna być stawiana niżej od innych czynników i dźwigni współczesnej cywilizacji. Objawianie i uzasadnianie głębi i powagi Sztuki jest obowiązkiem twórców i myślicieli; postanowienie Jej — rzeczą narodu.

Społeczeństwo, które problemat ten poniża — nie istnieje w obliczu kultury świata.

HENRYK JUSZKIEWICZ.

UWAGI O KRYTYCE.

Myśląc o „pewnej książce", o której tu i owdzie różnie mówią, zacząłem marzyć o idealnej krytyce. Myślałem o „pewnej książce," bo nie pamiętam jej treści, dolatuje mnie tylko pogłos jej rytmu, a czasem zdaje mi się, żem jej wcale nie czytał.

Przyszło do mnie widmo dzieła: nawiedziło mnie podczas białych świtów twórczych, kiedy z dziecięcą ufnością a wiedzą starców budowałem wszechmoc człowieka.

Byliśmy wszyscy prości, o bracia moi, anielstwem rozradowani na brzegu wielkiego oceanu, zkąd w potędze tchnienia, w jasności poranku szło królestwo harmonii.

Uderzyło nas widmo książki dusznem powietrzem rozpaczy, obyczajem nieszczęścia, które leczy się przecież jednem otwarciem oczu. Kiedy Chrystus naszej nadziei szedł po falach morza, ktoś pławił się w kanałach miejskich.

Jeżeli „tamto" jest braniem życia poważnie, to chcemy raczej zwać się niedoświadczeńcami, z których się śmieją. Precz mi z taką powagą, którą oczarował zgrzyt kajdanów i niezniszczalność pięści — —

Taka to wrzawa duchów podniosła się we mnie, kiedy uderzyłem się o mrok tej książki. Ze zmącenia powstała walka, a przezwyciężę ją w głębokiem milczeniu.

Oto dusza dzieła przedemną, a przed nią i za nią dwie bezpowrotne drogi ludzkości. Czy powinienem oskarżyć ją, czy uniewinnić, a więc w imieniu jakiegoś boga? Śni mi się nowa krytyka: jak wykreśla granicę mojej prawdy nowa książka? bo kto nie ma żadnej wiary, temu nic mówić nie wolno.

A mając wiarę i pewność zwycięstwa, pytam: przyjacielem mi jesteś, czy wrogiem? Książko, która chcesz mieć poddanych, bo do ludzi mówisz, zkąd królestwo twoje? I powtarzam, że ujrzałem dwie bezpowrotne drogi ludzkości. Nie złudą, nie pokusą symetryi, a rzeczywistością jest dla ludzi czynu (którzy wyszli po za dedukcyę myślową) ten dualizm życia i śmierci, inaczej twórczości i używania. Czyn bowiem potwierdza wiarę w irracjonalność faktu — wolną wolę — przeczy gotowym światom, które są kombinacyami ze stałych elementów, ujętemi w prawa przeznaczenia.

Używanie podlega myśli, czyn — wierze.

Tam gdzie panuje używanie, tam każda istota żywa jest zdobyczą: oto prawo łupu.

Przeciwieństwem tego jest twórcze społeczeństwo, zespół ruchu, nigdy nie gasnąca harmonja pracy, w której różnica między artystą a dziełem zanika zupełnie.

Myśląc o tej książce, rozumiem dokładnie grozę jej duszy. Ktoś zwątpił w wieczystą młodość ziemi i spowiadał się wobec ciemnego kąta pokoju: gdzież podzieje się Wiosna wobec panowania gwałtu i jarmarku, umarł człowiek, a widma zmartwychwstania, to fosforyczne ogniki zgnilizny.

I jak alchemik, zaprzedany czarnym, na cuchnących ranach „dzisiaj" ból swój sadził, aby wzeszły wyroczne kwiaty sądu. Legenda mówi, że lilje zdradziły tajemnicę grobu i na płatkach miały plamy krwawe i sine.

Powstaje w ten sposób sztuka „użycia" duszy swej docna. Ale dusza jednej doli jest niczem wobec twórczości. Umiera, gdy się spojrzy na siebie i w złowrogiem migotaniu zwierciadeł przygląda się upiór — upiorom.

Żywi czekają urzeczywistnień anielstwa człowieka, karmią się nadzieją szerokiego tchnienia. Praw tych nie szukam po

za sobą, ale słyszę ich wołania coraz bliższe i gorętsze, kiedy serce skacze w piersiach i jest się śmiesznym wobec grobów i maszyn — —

Uderzyłem się świetlnem polem duszy o kryptę tej książki i oddźwiękła. Czyż to jest krytyka? A innej nie rozumiem.

Gdyby ktoś nie wiedział gdzie ma iść i czy dojdzie, poszedłby za pogrzebem nocy tam, kędy umarli kładą się na sarkofagach, a księżyc wyzielenia skały otchłani. Ale kto ima się życia, a uznał (!) rzeczywistość współczesnego zatrzymania (zatrzymane — rozkłada się momentalnie, jak Bóg w analizie myślowej), ten zatruwa się „jadem tarantuli" (Nietzsche).

Sztuka jest idealną formą obcowania, krytyka mówi: chcemy obcować dobrze. Oto są dwie drogi ludzkości: dla jednych „nikt z nieboszczyków nie umierał," dla innych szatan ironii wymyślił obojętność śmierci — z pomieszania tych dwu dróg rodzi się potworność.

Uwagi moje są poszczególnem zdarzeniem. Każda wiara dźwięczy inną krytyką, uderzając o dzieło, a w rytmie książki i krytyki słychać stąpanie duszy. Wszystko bowiem wiąże logika języka: nierozłączna jest treść od formy, jak żywe ciało od ruchu.

JAN RUNDBAKEN.





„LILJA“. ANNA ZAWADZKA.

MALARSTWO WIZYJNE.

Mówić jeszcze można o genialności umysłu, lecz mówić o intuicji, tęsknotach i wyczarowaniach twórczości miłosnej— to tak, jakby ubrać w feljeton noc letnią mroczną, rozdzieraną cichemi błyskawicami, które, zapładniając baśniami Szachrzady otchłań, jednocześnie tworzą w niej bezmiar upragnień — —

W otchłaniach myśli, dających się wymierzyć, przebywają nawet najpotężniejsi potępieńcy czy wybrańcy świata:

Lucifer, Kain, Zarathuszta — i ten który bezsens świata przyjdzie ujawnić — Antychryst...

W otchłaniach myśli żył Michał Anioł, tworząc rój meteorów ludzkich, spadających w noc bezroświetlną z gwiaździstego nieba — w ten foramen abyssi magnae, który jest pokutą za grzechy — nie zbawione nawet przez zasługi Syna Bożego...

Lecz w jakiejże otchłani pełnej labiryntów błądzą Abelard i Heloiza, pisząc traktat o Trójcy świętej i oddając się sobie z potworną zmysłowością — w kościele!...

W jakiej otchłani porzuca nas Miłość kobiety, niby Furyi Rozbudzonej, niby Walkiryi z srebrną lancą na wichrowym błyskawicowym rumaku ulatującej tam, skąd już nie wróci i nie objawi się oczom umierającym za nią, bez niej, przez nią, w niej i dla niej! — —

— Tak, to wszystko już wiemy i poniekąd rozumiemy — ale skądże jest Intuicja metafizyki miłosnej w nieśmiałej 17-letniej pensjonarce, jaką poznałem lat temu cztery, wierzyć nie chcąc, iż te srogie męczarnie kobiet opuszczonych, Messalin nudzących się między żółwiami, te kanapy Djonizosa — te świątynie Piękna — wszystko nadludzko straszne

w swej ludzkiej podziemno-gwiezdnej naturze... są utworem uroczo-naiwnej dzieweczki?!...

Opowiedzieć te wizje znaczyłoby dać szereg powieści Edgara Poego, jeszcze nienapisanych...

Tylko że należałoby opowiedzieć tak, aby prócz samej anekdoty, prześwietnej zresztą, prócz samego powierzchownego sentymentu grozy, — wyjawić tę wewnętrzną rysunkową duszę mroków i cieni, linij splątanych, brutalnie twardych, albo linij jak najwyższe skrzypcowe Fis drgających aż w lunacje księżycowe, linij, które tworzą huragan opętań, grzechu, satanizmu, mroku, rozsadzających czaszkę swym potwornym ciężarem nieszczęścia...

Oto główne typy Twórczości nieprzewidzianej nigdy, głębszej zawsze nad własne i nad widzów oczekiwanie.

Uderza przedewszystkiem — Tragedja kobiety.

W wagonie I klasy luksusowego pociągu dama — samotna w coupé — pociąg gna z siłą 160 kilometrów na godzinę — wtem coś pełza po posadzce — małe straszliwe monstrum — dziecko, które grozi narodzeniem, a naradzając się, zmiażdży los tej kobiety potworniej, niż młot parowy, rozpłaszczający blok żelaza w arkusz blachy dla dziecinnych zabawek... Wampir ten pełznie straszniejszy niż tygrys — bo tygrysa można zabić;

wampir ten ukąsi boleśniej niż kobra, bo jad kobry można wyssać, a hańby nie;

wampir ten wyssie krew wszystką z pod serca, bo jest poczęty w uścisku wstrętnym, monstrualnym, bo — żyć będzie, jako ciągły nieustający krzyk: V a e f e m i n a e! Kobieto, oddałaś labirynt duszy swej i pogodę ciała gorylowi męskiemu, narodzisz przeto kikimora, skrzata, nielepca!

Mamy cały szereg obrazów, przedstawiających walkę atlety zbrojnego z uczuciowym kobiecym kwiatem.

Weźmy choćby ten rysunek.

Zbrojny ktoś, brutal, twarz nawet przystojna, ale tył czaszki małpoźwierza, nad przepaścią wyrzucił właśnie z łuku swego strzałę —

i taki potężny w swej medjolańskiej zbroi od stóp aż do gardła — —

strzała tak niechybna — nad przepaśćmi pofrunęła —

i dosięgła (strzały brutali zawsze kobietę sięgają). Jak irys biały ścięty upadła, przedziwny smutek, zda się królewny Maleny płaczącej — tylko nie płacze — —

łzy wszystkie stoczyły się do wnętrza — wgłąb serca —

Wokół — niczego, prócz mgły chmurnej. Wtem rozświetl chmurę rozdziera — gdy zabłyśnie księżyc, upadnie jej głowa ku ziemi — na zawsze. Zbrojny pan zatryumfuje?... O nie, pewno stanie się jednym z żółwiów dla jakiejś Messaliny!

Kiedy tęsknota zbudzi się w mordercy —

wraca o brzasku? czy w pełni księżycowej tak mocnej, że zda się tworzyć jakby dzień upiorny na wzgórzach dzikich, zarosłych kolczastymi krzewami — wraca na koniu ów zbrojny ktoś — i patrzy, pochylił się z konia — tam nad brzegiem mrocznej głębokiej wody lśni naga kobieta...

Jest że to owa sama, która tak tragicznie zgasła, jak dusza dziecka pogrzebanego przedwcześnie w grobowcu? —

jest że to istotnie nieszczęsna ofiara, jeśli sądzić po ręce zanurzonej w wodzie?

Ale strzeż się ty zbrojny Gauczosie, zarzucający swe ołowiane kule lassa, oczy tej Lilii iskrzą złowrogo — to nie lilia — to Lilith, królowa nocnych sabbatów, morderczyni dzieci, hetmanka strzyg...

Niedarmo koń twój cofa się w grozie — teraz się strzeż!
...Dama wytworna idzie przez miasto, — nóżki jej tak śliczne, ręka — jakby tylko rzucać mogła pierścień Dożów do morza — —
ale ręka ta zakrywa twarz, tylko oczy wyzierają niezgłębione, smutne, nad oczami widać czarną zgniliznę...
Noc: miasto w dole mży... na olbrzymiej górze kobieta zamyślona... dalsza od miasta, niż święty Hindus w swojej pieczarze —
ale zarazem najnieszczęśniejsza niewolnica wszystkich ścieków tego kłamstwa, które się zwie współczesną moralnością...
(Pochodzenie Anny Zawadzkiej wybija się na jej obrazach. Za Władysława Hermana złączyły się rody Rogala. Zawadzkich z hiszpańskim rodem Guzmanów i Odrowążami — pono tymi co fundowali kościół P. Maryi w Krakowie.)

Dział drugi tego wielkiego koncertu stanowi — Tryumf kobiety:

Messalina oparta i zamknięta w kolisku balustrady. Zmysłowe, bachiczne kształty tej Urny pożądań — a przed nią takie ciemięgi, takie żółwie gmerają po mozajce posadzki...
Albo ta alabastrowa kobieta, która wstrzymuje ogiera, ten idzie za nią posłuszny, wspaniały — antyczny, jak z Etruskich waz —
na ziemi leży nieszczęsny biedak, jakiś sympatyczny działacz ludowy, lub może fotograf z Dzikiej Kaczki... Zdruzgotany, twarz wbita w ziemię, delikatna ręka wysuwa się z rękawa koszuli... Ale jak mógł dosiadać, zamiast tramwaju — Bucefała... i to wobec tej nagiej kobiety, która jest tylko pozornie cichą, naiwną — bo z istoty swej jest Wezuwiuszem spiętrzonym na Etnie, jest straszniejsza niż wulkan Krakatau, który zmiótłby miasta na przestrzeni tysiąca

mil — gdyby nie to, że miał przed sobą tylko bezmiar pustyni Oceanu Wielkiego, po którym biegła fala morska, wysoka na 40 metrów!...

A teraz bajka Wilde'a o karle i Książętach. Oto ogród Buen Retiro — płoną magnolje na drzewach, posągi. Róże jadowite, i jakieś rosiczki czy kaktusy!... Wtem idzie księżniczka z Infantem — dumni, młodzi, nadęci.

Karzeł smętny jawi się z różą przed nimi w tym ztorturowanym ogrodzie... Resztę opowiedział nam poeta.

Tum gotycki... szereg zakonników odwróconych modli się w stallach, zakapturzeni —

Patrzą w ołtarz — ale nie dosięga wzrok ich metafizyki innej, niż ta boska naga kobieta tańcząca, choć nieruchoma, melodyjniejsza nad muzykę mszy Beethovena. Nie wyrzecze nikomu ani słowa... z tych dogmatyków samczości!...

Obraz inny: klasztor. Kraty w oknie olbrzymim, pod niem organy, na których gra stary ksiądz.

W sali tej gdzie tylko iskrzy mozajka, ksiądz młody o twarzy przewrotnej suchej mądrej — jako metr tańców uczy korowód dziewczyn. Te w hiszpańskich kryzach, w kapeluszach szerokich, zaczynając od maleńkiej dzieweczki, — kończąc na dorosłej, która patrzy wyzywająco. Lecz jedna ze środkowych może najdziwniejsza.

Śliczne postacie, wytworne, zmysłowo samicze, perwersyjnoniewinne — w czarny aksamit ubrany typ nowoczesnych cór Ewy. W akordzie wężowym luciferycznym płyną ich menuetowe ciała, jakby z wizji XVIII-wiecznej hiszpańskiego Eskurjalu.

. . . .

Zdumiewać mogą rewelacje erotyzmu, ale istnymi traktatami De errore humano — są Zagadki bytu:

Dwóch błaznów, jeden wysoki, drugi maleńki gruby —
Spotykają trumienkę — zdumieli się, zachichotali, ha, ha, ha!... I oto głoszą, że niema tajemnic, niema rzeczy niepojętych, niema tragedyi, tak mówią: dwa błazny... Rzecz dzieje w Warszawie, to wiadomo!... nieprawdaż?...

Mówiłbym jeszcze długo, ale nie mogę pozbawiać swej duszy tego najlepszego:
milczącej wizyi duszy kobiecej, ekstatycznie twórczej, zmysłowej jak księżyc, zanim się stał lunatykiem; duszy wyrafinowanej rebusami djabła Trismegisty, który wraz z Ledą zanurza się w morzu rozśpiewanem — wśród konających Jednodniówek Życia!... Nie mówmy!
A jednak wypowiedzieć jeszcze muszę mą troskę: teren na którym talent ten się krzewi jest zbyt zatruty, aby nie musiała wyrosnąć monstrualność. W otchłannej bezdogmatowości dusza zaczepi się o jakiś pusty komunał. Wszak widzimy to wieczne Dżiu dżitsu życia, że najsłabsze powali najsilniejsze prawem rozpędu niewstrzymalnej siły...
Gdyby Anna Zawadzka przebyła siedem lat w Indjach duchowych, nie spalając się w wizjach erotyzmu Warszawy lub Paryża, gdyby miała do rozporządzenia malować freskami świątynię Polskiego piekła, czyśćca i raju — —
gdyby nie prawo okrutne, które każe orchidei kwitnąć, dopóki nie upadnie na nią pyłek... a wtedy finita Commedia, faciamo i bambini!...
gdyby nie to, że jest kobietą — to jest w dzisiejszej kulturze istotą skazaną na panowanie tylko przez erotyzm, a nie przez Sybilliczne jasnowidztwo — słowem, gdyby się stała druidką, Rozą Wenedą, — albo Annie Besant czy Curie. Skłodowską w dziedzinie wewnętrznych czy zewnętrznych światów — —

nie lękałbym się o tę świetną lampę Aladyna.

Ale płonąc światłem bez Światła, jasnowidztwem bez Wiedzy, twórczością bez czci dla niej, tęsknotą nieskończoności, odbitą w dwóch naprzeciw siebie stojących lustrach kawiarni —

Anna Zawadzka może zgasnąć, jak meteor.

Wyratować ją by mogła tylko wewnętrzna religia.

Czy intuicja jej zdoła na pustyni olbrzymich miast zaśpiewać, jak posąg Memnona hymn o tworzącej się za horyzontem Jutrzni?

Wtedy weszłaby w erę potężnych lechicko-aryjskich zagubionych, lecz odnalezionych świątyń, przez cisze Chrystusowe, przez dylematy Zarathuszty, przez matematyczny uśmiech Lionarda, przez ekstazę syberyjskich więźniów na wilii, przez miasta stubramne Lucifera, przez kanjony księżycowe najgłębszych rozwiązań — ku chatom wiejskim znów, ku korowodom ptaków w zmierzchu lecącym z gór Araratu ku Polsce, — i w radości tworzenia Hewy bezgrzesznej — wśród świateł — — wiecznego błogosławieństwa!...

TADEUSZ MICIŃSKI.



KRONIKA.

ECHA.

Gdy na wiosnę roku 1911 powstawała w Warszawie „Sztuka", — pismo niezależne, poświęcone twórczości artystycznej,—starano się wyprobowanym sposobem stłumić ten śmiały i niepotrzebny eksperyment.

Prospekt „Sztuki", powitany w sferach literackich z radością, przez prasę warszawską pominięty został naogół milczeniem... Jedynie „Nowa Gazeta" pisała:

„Wśród literackich pism warszawskich niema w tej chwili ani jednego, któreby swe dążenia wyraźnie określiło. Zamiast programu — panuje tam przypadkowość wyboru, zwana wszechstronnością; bylejakość sądu, zwana niezależnością od „ciasnoty szkół" i wreszcie zupełna obojętność na rzeczywiste zadania sztuki.
To też zjawienie się wyraźnego i dzielnego prospektu nowego miesięcznika „Sztuka" należy przywitać bardzo przychylnie..." (następuje obszerny wyjątek z prospektu).

...A jednocześnie arcy-konserwatywny „Dziennik Powszechny" drukuje fejleton p. t. „Majaczenia" pełen nietaktu i arogancji, podający z prospektu wiele cytat poprzekręcanych i wprost fałszywych!... Inteligentny „krytyk"(?) Dziennika nie tylko nie zrozumiał (do czego się przyznaje) myśli zawartych w prospekcie, a przewyższających poziom jego kultury — ale, co gorsza, nie umiał przepisać dosłownie i uczciwie słów cudzych, cudzysłowem ujętych...

* * *

Przytaczamy przy sposobności dosłowną treść literacką naszego prospektu:

„Sztuka jako wyraz ogólnoludzkiej tęsknoty jest idealną formą społeczeństwa duchów. Przez naród żywy i jego prawodawcę-twórcę dąży ona do uzewnętrznienia najgłębszej istoty wszechczłowieka, nie znającego już żadnych formalnych ograniczeń.

Sztuka jest jednocześnie unieśmiertelnieniem tych tęsknot, przeto wierzy w boskość człowieka; jest potwierdzeniem życia jako szczęścia.
Sztuka polega na formie, to znaczy na koniecznem ograniczeniu się w bezkształcie, w chaosie. Chwytanie wrażeń, bierność bezładnych odczuwań wyklucza pojęcie twórczości.
Obchodzi nas duch żywy, więc twórczy każdej chwili, który jest chlebem codziennym czujnych, a bezsennych pracowników Jutra. Ale pracę jego widzimy tak daleko wstecz, jak tylko zdoła sięgnąć historja. Więc spotykamy bliskich sobie we wszystkich epokach i narodach, gdzie walczył niestrudzenie pod męką ciał idący Król-Duch. Oto nieśmiertelność dzieł sztuki, a jej aktualność (jeśli można tak powiedzieć) mierzy się głębokością znijścia w duszę ludzką.
Krystalizuje się świadoma moc ludzka wśród coraz możliwie mniejszej przypadkowości dokolnej, a wyraża się w twórczości przez konieczność rytmu.
Prawo wewnętrzne artysty przeobraża się w t. zw. styl. Ciągłość i wyrazistość linji życiowej stwarzała człowieka tragicznego: oto co wielkim epokom nadawało znamię stylu i z czem w pokrewnych kulturach solidaryzować się będziemy.

. . . .

W dziale literackim uwzględniać będziemy jeno prawdziwie twórczo rodzące się słowo. Poezja podnosi je do wysokości niepowtarzalnego i syntetycznego zaklęcia duszy ludzkiej. Proza stwarza przeczucie eposu społecznego: język przyszłych uczuć i sytuacji życiowych.
W teatrze poezja załamuje się w sztukę sceniczną. Gest ludzki, rytmiczna sytuacja, wreszcie scena jako obraz stwarza świat złudy, w którym żyje dusza zbiorowa.
W dziale muzyki uwzględniać będziemy każde konieczne, z głębokich warstw ducha dobyte tworzywo dźwiękowe, przetęsknione w treści, odkrywcze w proporcjach.
Malarstwo jest projekcją ducha artysty, ujawniającą się przez harmonijną rytmikę światła, koloru i linji. Zarówno w malarstwie jak w rzeźbie, czy pod wpływem natury, czy bez-

pośrednio z siebie artysta stwarza zawsze swe własne stany duchowe.

Sztuka stosowana wprowadza piękno w życie użyteczne człowieka. Piękno wnętrza domu i przedmiotów wypływa z uwzględnienia warunków celowości i estetyki łącznie. Sztuka stosowana widomie wyodrębnia naród w jego życiu codziennem.

Architekturę domu zaliczamy do sztuki stosowanej; uwzględniać będziemy ponadto architekturę monumentalną, jako zastygłe hymny duszy całych epok i ludów wobec historji."

* * *

Gdy ukazał się—w marcu r. 1911—pierwszy zeszyt „Sztuki" zainteresowanie wzrosło. Zdziwieni nieco byliśmy zarówno nieoczekiwaną przychylnością i... pobłażaniem jednych, jak nadspodziewanie arogancką nonszalancją innych. Przytaczamy kilka głosów poważnych — obok napaści zza płota. Zestawienie to niech mówi samo o wadze „opinji" i o warunkach pracy kulturalnej w ubogiej duchem Warszawie.

. . . .

Zdzisław Dębicki poświęcając trzem powstałym w Warszawie i Krakowie pismom literackim feljeton p. t. „Nowe Placówki" („Kurjer Warszawski" z d. 30 marca 1911 r.) pisze w nim między innemi:

„Minął już szereg lat od chwili, kiedy Miriam zawiesił wydawnictwo Chimery, jakby w przeczuciu idącej burzy rewolucyjnej, która istotnie oderwała całkowicie uwagę od zagadnień literatury i sztuki... Przez cały ten czas Warszawa miała tylko dwa miesięczniki literackie.

Poza tem Warszawa oddała się całkowicie naprzód polityce, a potem leczeniu trudnych do zabliźnienia ran, jakie pozostawiła po sobie anarchja lat wywrotnych w sercach, duszach i mózgach ludzkich. Przyszła wreszcie reakcja i konieczny jej wynik — apatja i odrętwienie, z których obecnie dopiero, powoli, zaczynamy się otrząsać i dźwigać.

Niewątpliwym zwiastunem tego nowego tętna i „nowego życia" jest także rozpoczynający się w tej chwili, i u nas, i w Galicji, wzmożony ruch literacki. Oto niemal jednocześnie powstały trzy nowe miesięczniki, trzy ogniska.

W ładnej i starannej szacie wydawniczej ukazał się pierwszy zeszyt Sztuki warszawskiej.
Rozpoczynają go piękne poezje Artura Górskiego, nie podobna ich jednak uważać za utwory sztandarowe dla całej grupy.
Grupa ta, o ile w naszych warunkach może być mowa o jakiemś wyraźnem i celowem skupieniu sił artystycznych, stoi na stanowisku sztuki dla sztuki. Wierzy, że „sztuka jako wyraz ogólnoludzkiej tęsknoty jest idealną formą społeczeństwa duchów", że „przez naród żywy i jego prawodawcę-twórcę dąży ona do uzewnętrznienia najgłębszej istoty wszechczłowieka, nie znającego już żadnych formalnych ograniczeń", że „wierzy ona w boskość człowieka" i jest „potwierdzeniem życia, jako szczęścia".
Sztuka ma kult dla pięknej formy i przedstawia się bardzo interesująco pod względem ilustracyjnym (Gauguin, Maurice Denis, Zdzisław Eichler, Grombecki, Janusz Nawroczyński i F. Siedlecki.)
Nadto Sztuka gościnnie otworzyła swoje łamy poetom. Znalazły się bowiem w pierwszym jej zeszycie utwory Henryka Juszkiewicza, Jana Lemańskiego, Bolesława Leśmiana, Jana Rundbakena, Zygmunta Idzikowskiego, Aleksandra Szczęsnego, Heleny Stattlerówny (przekład Spleenu Baudelaire'a i Dzieciństwa Jana Artura Rimbaud'a).
Tadeusz Miciński rozpoczął tu druk nowej swojej powieści p. t. „Ksiądz Faust", w której odzywają się echa niedawnej rewolucji. Nadto w utworze tym olśniewa niepospolity kunszt słowa.
W rubrykach zwykłych wyróżnia się „Szkic o teatrze w Polsce" p. t. „Tabula rasa" pióra Tadeusza Nalepińskiego. Autor, oświadczając się z góry przeciw „wszelkiemu frazesowi", zapowiada"... (następują cytaty. Przyp. Red.)

* * *

Cały feljeton poświęciło „Sztuce" — warszawskie arcykonserwatywne „Słowo". Zdawałoby się, że tu można też oczekiwać opinji poważnej, prawda? W pismach podobnego typu we Francji np. czytelnik znajduje najlepsze informacje co do poważnych wydarzeń artystycznych — świetne krytyki — manifesty literackie nowych szkół... A u nas w pismach zachowawczych — sprawy kultury duchowej są wyszydzane!

Oto w „Słowie" z dnia 15 kwietnia r. 1911, t. j. w kilka tygodni po wyjściu I zeszytu „Sztuki" spotkaliśmy artykuł pióra... p. Martella pod tyt. „Światłocienie literackie. Wskrzeszenie akurat wielkanocne „Chimery"(?)

„Pokłon ci, „Chimero" Mirjamowa! Źródłem kastalskiem byłaś niejednej wytworności literackiej: w treści, nastroju i w kształcie artystycznym! Promieniowanie też dałaś tak zwanemu modernizmowi polskiej poezji i prozy; pogłębiłaś dusz odczuwanie, wysubtelniłaś wypowiadanie się myśli i wrażeń; nową świeżą warstwę kultury literackiej wogóle zaciągnęłaś na spowszedniałą, zwietrzałą pospolitość poromantycznej, wyjałowionej twórczości naszej...

To też gdy zeszłaś z widowni, „Chimero", wznieśliśmy ci pomnik, ryjąc na nim złotemi literami najzaszczytniejsze epitafja. Trwać będzie jak jeden z wieczystych słupów upamiętniających etapy literatury polskiej, jak słup graniczny między dawnemi a nowemi laty. I — porzuciliśmy ciebie, „Chimero", nie jak zdrajcy opuszczający sztandar, nie jak niewdzięcznicy niepomni zasług twych i świetności, ale porzuciliśmy ciebie w „historycznem" już dziś osamotnieniu twojem, jak porzuciła ludzkość... piramidy i zamki warowne, śpiesząc ku budowaniu jeszcze wyszukańszych gmachów dla swych Królów-Duchów, jeszcze doskonalszych schronisk dla skarbów swoich.(?)

Niniejsze słowa niech usprawiedliwią zdziwienie moje przy oglądaniu pierwszego (marzec tegoroczny) zeszytu nowego miesięcznika warszawskiego „Sztuka". Zdawało mi się, że zaszedł mi drogę: upiorny cień nieboszczki „Chimery".

Tak... tak... Das sind die Züge der teuren Sirene!.. Nawet takież (?) wciąż jeszcze (?) wypunktowywania, fidrygałki i sznureczkowe ozdóbki, łączące z sobą, a nieznośnie (?) okresy i frazesy (?) zamiast je rozdzielać. Karty tytułowej tak dobrze, jak niema. Z punktu wpadamy in medias res wierszem... Takim oto:

Powróć mi na światło oczu dawną Ondyny postać,
Zanim zamkowe wrzeciądze zawrze za tobą los —
A ja duszę twą zczaruję by tak musiała zostać,
Wokół cyprysy, winograd — na ręku gwiazda i kłos.
Wszystko jest snem,—błyska i mija—i mija—(fale Arna).
Serca jedynie słodki nierozum dowierza lotnym snom:
Tysiąc gwiazd na otchłani wiruje, jedna-li gwiazda polarna
Świeci stale —archanioł srebrny, co wiedzie wędrowca w dom.

Koniec. Tylko to, a więcej nic (?) Wzięte w nawias objaś-

nienie „fale Arna" nie są bynajmniej moim usłużnym dodatkiem. W oryginale są. Dobrze zaczyna się!
Spostrzegam dalej wiersz rozpoczęty od słów: „Uczeń pilnie schylony, czyta błędne znaki — na skrzyżowanych losu ostrzach poszczerbionych". Nie dziw, że się mozoli. Znak uczyniony na... ostrzu (!) choćby nawet nie był „błędny" niełatwy przecie do odczytania. (?)
Cóż słychać wśród utworów prozą? Muszę, niestety, poprzestać na jednej, jedynej cytacie..."

Cytata wyjęta z artykułu o „Sułkowskim" Żeromskiego równie „udała się" poważnemu krytykowi ze „Słowa" jak cytata wiersza „Powróć mi na światło oczu..." Artura Górskiego. Znaki zapytania, w nawias wzięte, — są naszym usłużnym dodatkiem. Trzeba by je stawiać przy każdej myśli p. Martella, zwłaszcza gdy pozwala sobie np. wprost drwić z Chimery, porzuconej przez kogo? przez p. Martella?

Wysoce zabawne są uwagi „krytyczne" co do działu plastycznego, którym w I zeszycie „Sztuki" kierował p. Fr. Siedlecki, człowiek poważnej wiedzy i kultury artystycznej.

...„Jeżeli bowiem pp. redaktorowie i wydawcy „Sztuki" wyobrażają sobie, że rozsmakują nas (?) w przed-chimerowych pseudo-modernistycznych niedojrzałościach lub w reprodukowanych „obrazach" takiego Gauguina (kpi, czy o drogę pyta?) albo kompozycjach alegorycznych w rodzaju krzywej kobiety głaszczącej konia jednorogiego, siedzącego nie wiedzieć czem i na czem (p. Janusza Nawroczyńskiego dzieło), olukrowawszy to wszystko błyskami rzeczywistych talentów, to się pp. redaktorowie i wydawcy — mylą."

* * *

„Taki" Gauguin nie „rozsmakował" nawet fachowego krytyka i art.-malarza p. Tadeusza Jaroszyńskiego, który w pół roku po wyjściu I zeszytu „Sztuki", pisząc o wystawie artystów francuzkich, i nam poświęca łaskawą a zjadliwą uwagę, oczywiście dyskretnie, nie wymieniając tytułu pisma. Uwaga w każdym razie... charakterystyczna:

...„Do wspaniałej wystawy artystów francuskich należałoby dodać mały komentarz, wyjaśniający artystów tych w ich własnym kraju znaczenie.

Jest to sprawą o tyle ważną, że i tam w tym kraju szczęśliwym, pomimo niezaprzeczonej nad innemi narodami wyższości, z manifestowaniem się indywidualności artystycznych bywa najrozmaiciej. Nie można tedy wszystkiego, co z Francji, i dla tego, że z Francji pochodzi, uważać za równie godne uznania, lecz w interesie świadomości estetycznej trzeba odnaleźć dla siebie stałe a mocne stanowisko szybkiej, doraźnej ale własnej orjentacji krytycznej.
Nie zawsze jednak umiemy, czy nie zawsze chcemy orjentacji takiej zdobyć podstawy niezależne, lecz owszem zbyt chętnie poddajemy się suggestjom... z przypadku.
Ilustruje to dość plastycznie przykład następujący. Przed ośmiu czy dziewięciu laty, wychodzące w Paryżu polskie pismo wyłącznie artystyczne w jednym z zeszytów zamieściło niesłychanie entuzjastyczną ocenę twórczości osobliwego malarza francuzkiego, Gauguin'a. Przed dwoma laty ukazało się w Galicji pismo wyłącznie i wysoko a postępowo artystyczne, które pierwszy numer poświęciło Gauguinowi, w tym roku zaś nowe pismo artystyczne w Warszewie działalność swoją rozpoczęło również od Gauguin'a. Okazuje się tedy, że panowie ci w swoim postępie estetycznym od lat ośmiu zbytnio naprzód nie wybiegli. Wspomniany malarz francuzki był w sztuce zjawiskiem bezsprzecznie niezmiernie, jak się rzekło, osobliwem, ale przecież, od lat kilkunastu, to jest od śmierci tego artysty, wiele innych osobistości wypłynęło na powierzchnię zainteresowania szczególniejszego w tej dziedzinie, że wymienimy takie nazwiska jak Henry Martin, Maurice Denis, a zwłaszcza Matisse, najpopularniejszy w pewnych sferach oryginał. Tymczasem nasi esteci poza Gauguin'a wyjść jakoś nie mogą.
Wypadłoby ztąd, że są oni w pewnej mierze nader konserwatywni. Świadectwem takiego zachowawczego postępu, czy postępowej zachowawczości jest jeszcze bezwzględna wiara w impresjonizm"... i t. d., i t. d...

Pochwalamy zamiar p. Jaroszyńskiego. Niech szuka „stałego stanowiska doraźnej ale własnej orjentacji krytycznej". Ale jeśli p. Jaroszyński pragnie zdobyć je zwalczając orjentację wyrażoną w programowej działalności najpoważniejszych placówek „wyłącznie artystycznych", to nie możemy ukryć zdziwienia co do metody tej walki. Jeśli przemawiając w „interesie świadomości estetycznej" p. Jaroszyński będzie zdradzał zawsze podobną nieświado-

mość tego, o czem mowa, to jego „doraźne orjentacje kry-tyczne“ nie będą wzbudzać żadnego zaufania nawet u tej kategorji czytelników, która pozwala się otumaniać... do cza-su. P. Jaroszyński względem „Sztuki“ naszej i względem „Museionu“, i względem „Sztuki“ ongi Potockiego—stosuje ironję zgoła niefortunną!.. Opiera ją na jednym aż fakcie, co do którego wszakże — z przykrością musimy stwierdzić —p. Jaroszyński się myli, i to chciejmy wierzyć tylko z powodu własnej... nieuwagi. (Fakt zaobserwowany przez p. Jaroszyńskiego formułuje się tak: nasi esteci po za Gauguin'a wyjść jakoś nie mogą: a przecież istnieje Maurice Denis i t. d...). Każdy, kto miał w ręku wspom-niane wydawnictwa wie, czy punkt wyjścia i zakres ich dzia-łalności nie wykracza po za Gauguin a, atoli już bijącym w oczy dowodem... lekkomyślności jest ironiczna insy-nuacja „postępowej zachowawczości“ w stosunku do nas, — — Przecież istnieje Maurice Denis i t. d. Tak. Właśnie w pierwszym zeszycie naszej „Sztuki“ istnieje — obok gauguinowskiej Nafei!... Taką metodą walczyć nie wypada...

* * *

„Tygodnik Ilustrowany" (Nr. 15 rok 1911) zamieścił p. t. „Nasze miesięczniki" następujące uwagi:

„Miesięczniki nasze literacko artystyczne, pozwalając auto-rom szerzej niż to by się dało w pismach codziennych i tygodniowych myśli swoje wyłożyć i uzasadnić, są, oczy-wiście, ważną placówką kultury narodowej. Rozumieją to ich kierownicy — i z zadania swego wywiązują się jaknaj-chlubniej. Wzmiankując o trzech pismach powstałych w r. 1911, „Tygodnik" pisze: „...Wszystkie trzy są orga-nami „młodych", wszystkie cechują się szczerym zapałem dla sztuki... Jaki ztąd nowy wyniknie kierunek literacki? Czy które z nich stanie się „Życiem" krakowskiem lub „Chimerą" warszawską? Czy zasłuży na dłuższą wzmiankę w dziejach piśmiennictwa ojczystego?“...

* * *

Jan Lorentowicz w Nr.Nr. 26 i 27 „Literatury i Sztuki" (dodatku literackiego do „Nowej Gazety" z 1911 r.) po-

święcił feljeton p. t. „Nowe miesięczniki” nowopowstałym w r. z. pismom literackim — trzem w Galicji i jednemu w Królestwie Polskiem. Przytaczamy wyjątki nas bliżej obchodzące.

...„Miesięcznik literacki jest jedyną formą wydawnictwa perjodycznego, która dotychczas nie zdołała ustalić sobie w Polsce bytu samodzielnego. Od dawien dawna różni nasi wydawcy i redaktorzy czasopism miesięcznych usiłowali oprzeć się na tak zwanem „poparciu prenumeratorów”, przekonywali się jednak wkrótce, że to podstawa beznadziejnie krucha. Bez zasiłków żaden snadź polski miesięcznik literacki nie może istnieć. I jest to jeszcze jeden wymowny przyczynek do historji naszych przechwałek kulturalnych. „Ateneum” i „Chimera” pociągnęły za sobą znaczne ofiary pieniężne jednostek i — przestały wychodzić...

...„Miesięczniki są u nas rozkładane na stołach, w czytelniach, rzadko jednak bywają czytane, a jeszcze rzadziej — „popierane“ przez prenumeratę.

Tem sympatycznej witać należy nowe próby walki z obojętnością czytelnika... W Warszawie — młody poeta p. Henryk Juszkiewicz, zgromadził kilku artystów...*) Program pisma określono z głęboką świadomością zadań prawdziwego artysty: (tu następuje manifestowa część prospektu, którą drukowaliśmy powyżej. Przyp. Red.)

---

*) Nie cytujemy informacji nieścisłych, które p. Lorentowicz obok swych uwag krytycznych dla nas tak cennych i pożądanych umieścił: Oto np. zaproszeni do komitetu redakcyjnego i przez kilka miesięcy biorący blizki udział w kierownictwie pisma przedstawiciele różnych działów Sztuki — nie przyjmowali żadnego udziału w organizacji finansowo-administracyjnej. Założyciel i redaktor pisma włożył w tą organizację dość znaczny zasób środków — ale nie można u nas, niestety, określić stopnia obojętności ogółu — ztąd „trudności trudne do pokonania“. Połączone zeszyty II i III miały z w i ę k s z o n ą objętość, nawet w porównaniu z I-ym, który ceną i objętością był większy ponad normę określoną warunkami budżetu (t. j. 40 — 60 str.). W porównaniu z tą normą zeszyt II-III był p o d w ó j n y. Wreszcie co do „naczelnej zasady przedsięwzięcia“ — nie zgadzamy się na to, aby była nią p e r j o d y c z n o ś ć. Kto zna stosunki warszawskie, kulturę naszych robotników, poziom drukarstwa, kto wie ile czasu i energji trzeba zużywać na walkę o to, co zagranicą dawno już zostało opanowane i weszło w użycie powszechne, ten wie, że artystyczne wydawnictwo u nas wprost nie m o ż e b y ć p e r j o d y c z n e!... Pozatem Sztuka, co już nieraz wyjaśniano, aktualności i punktualności nie zawsze może i chce hołdować. Więc zasady tej pismo artystyczne nie może stawiać na miejscu naczelnem...

Kierownictwo każdego działu powierzono oddzielnemu artyście, wskutek czego utworzył się cały komitet redakcyjny: redakcję ogólną objął H. Juszkiewicz; sztuki plastyczne i teatr — F. Siedlecki; architekturę — A. Gravier; literaturę — J. Rundbaken i A. Szczęsny; muzykę — K. Szymanowski. Z dwóch dotychczasowych zeszytów niepodobna wyciągnąć decydującego wniosku o wydawnictwie. Jest ono w fazie kształtowania się, o ile, oczywiście, zdoła ustalić sobie byt. Otrzymało piękną szatę zewnętrzną, obmyśloną i zdobioną przez F. Siedleckiego. Dało dotychczas z tuzin reprodukcji dzieł plastycznych i architektonicznych zarówno polskich, jak obcych artystów (F. Siedlecki, Z. Eichler, H. Grombecki, J. Nawroczyński, K. Dunikowski, T. Pruszkowski, W. Gordon, Z. Kamiński, A. Gravier, O. Sosnowski, P. Gauguin, M. Denis). W każdym zeszycie są kompozycje muzyczne (nuty). Redaktorzy-poeci największą troską otaczają poezję, której udzielają najobficiej miejsca; obok utworów własnych, pomieścili dotychczas poezje: J. Kasprowicza, J. Lemańskiego, A. Górskiego, B. Leśmiana, Z. Idzikowskiego, oraz przekłady: H. Stattlerówny, Z. Witmira, G. Beilina. — Tadeusz Miciński rozpoczął druk ciekawej powieści p. t. „Xiądz Faust". Dział sprawozdawczy i krytyczny nie został jeszcze zorganizowany należycie. Obok drobnych, jędrnych gloss, mamy tu dwie prace Rundbakena („Sztuka jako życie" i o „Godach życia" Dygasińskiego); studjum o malarstwie — F. Siedleckiego; o teatrze w Polsce — T. Nalepińskiego; o muzyce w dramatach Wyspiańskiego — H. Opieńskiego. Od urzeczywistnienia zamiarów, wyrażonych w prospekcie, „Sztuka" stoi jeszcze dość daleko. Są w niej rzeczy piękne, jest w niej gorący zapał, ale nie brak też niejasnych, nie ujętych w mocną formę „bezładnych odczuwań". Mam wrażenie, że „komitet redakcyjny" może w takiem piśmie źle wpłynąć na jedność kierunku. Gdyby „Sztuka" była prowadzona według swego programu prospektowego, mogłaby odegrać ważną rolę w naszych stosunkach. Czy zdoła jednak uporać się z trudnościami? czy przetrwa? Życzymy jej tego serdecznie."

* * *

Feljeton Jana Lorentowicza mówi, jak wspomnieliśmy, również o trzech galicyjskich pismach a między innemi o miesięczniku lwowskim, który ukazał się w kilka miesięcy po wyjściu pierwszego zeszytu „Sztuki", przy-

własczając sobie nasz tytuł. Ponieważ wynikały już ztąd pomyłki, dla nas niemiłe, zaznaczamy, że z wydawnictwem lwowskiem n i c „Sztuka" warszawska niema wspólnego. Dla nas tytuł „Sztuka" przedstawia głęboką i istotną wartość, tłomaczy się charakterem i planem programowych założeń po raz pierwszy w Polsce tak centralizujących wszystkie promienie Sztuki. Tem dziwniejsze są pobudki przywłaszczenia sobie naszego tytułu przez wydawnictwo lwowskie, że znajduje się ono w dość luźnym związku ze Sztuką wogóle: na dowód cytujemy parę zdań p. Lorentowicza:

...„Do wielkiego miesięcznika ilustrowanego zabrał się także i Lwów, w którym dotychczas nie udawały się żadne poważniejsze przedsięwzięcia artystyczne. Pismo powstało z ofiarności prywatnej i otrzymało również tytuł „Sztuka", co, oczywiście, słusznem nie jest. Organizację miesięcznika objął T. Rutowski, znany działacz i polityk. Programowe słowo wstępne „od wydawnictwa" przypomina też cokolwiek mowę wiecową. Redakcji nie tyle chodzi o sztukę, ile o przekonanie kogo należy, że „roli jednej ze stolic narodowego życia Lwów odebrać sobie nie da". Program pisma posiada też ton polemiczny, w którym łatwo dosłyszeć echa jakichś wczorajszych sporów o podejrzanej wartości „własne zbiory sztuki". — „Chemy — pisze redakcja — bo musimy skończyć z rolą miasta drugorzędnego, któremu starsze dziejową świetnością, jeno rolę dorobkiewicza chcą przyznać i tolerować. ...I boli nas nie do zniesienia gdy usiłowania nasze spotykają się ciągle jeszcze z przekąsem, krytyką, zazdrością, — gdy są jeszcze umysły, co myślą, że nam wyższość pokażą swą pychą, z tytułu zasług minionych generacji..." ...Pomimo dość szczególnych kryterjów artystycznych, na których „Sztuka" lwowska się opiera, może ona oddać niemałe usługi, jako pierwsza krytyczna inwentaryzacja zbiorów lwowskich. Zyczymy też nowemu wydawnictwu... skondensowania swych zadań przedewszystkiem w kierunku tej inwentaryzacji."

* * *

„Myśl Niepodległa" Andrzeja Niemojewskiego poświęciła nam krótkie lecz życzliwe uwagi. Czytamy m. in:

...„W szacie nadzwyczaj wytwornej ukazał się w marcu pierwszy zeszyt miesięcznika „Sztuka"... Czuć że redaktorowie przystąpili do dzieła z pietyzmem. Dotąd wszelako „Sztuka" jest jeszcze zanadto miesięcznie ukazującą się antologją, a może zamało pismem perjodycznem. Artykuły poświęcone zagadnieniom sztuki są jakgdyby wyrwane ze środka bardzo interesującej całości, ale może należałoby pamiętać, że u nas trzeba zaczynać od samego początku od A. B. C... W tej dziedzinie jest wszystko u nas jeszcze do zrobienia, a przedewszystkiem cały naród do wychowania. Mamy wprawdzie pozorny rozrost sztuki w beletrystyce, wszelako nie ulega bodaj kwestji, że beletrystyka nasza w większości wypadków jest jeszcze niewolnicą, która ma bawić grymaśną swą panią, publiczność. Wszelki wysiłek szlachetny należy witać przychylnie, więc życzymy powodzenia nowemu organowi".

* * *

Opinja społeczna wyraża się nietylko w głosach krytyki lecz przedewszystkiem w zainteresowaniu czytającego ogółu. Możemy tu stwierdzić fakt dużego zainteresowania przy małem „poparciu prenumeratorów"... Czyż ten uogólniony niejako przez p. J. Lorentowicza fakt ma dowodzić, że placówka artystyczna w Warszawie jest niepotrzebna? Sądzimy, że należy raczej: dowieść konieczności jej istnienia i konieczności ofiar.

Warszawa ma wielką dziejową przeszłość — i bez wątpienia wielką przyszłość. Jaką? — od nas jeszcze zależy. Z punktu widzenia kultury polskiej miraż przyszłości zarysowuje się smutnie na horyzontach Jutra — i okrutniej jeszcze niż dusząca nas zmora teraźniejszości. Dziś położenie jest groźne wprost. Próby walki zdarzają się rzadko i rzadziej jeszcze przezwyciężają bezwład i apatję...

Warszawa gasi wszelkie ofiarne znicze, jakby bojąc się, aby nie ujrzeć przy ich blasku bezmiernej nędzy dusz, zatrutych jadem niewoli... Warszawa uporczywie pragnie utrzymać się na ostatniem miejscu w rzędzie współczesnych środowisk kulturalnych. Obojętnością potworną, bezprzykładną Warszawa ze swych murów wypędza artystów do

Paryża, Krakowa, gdziebądź, bo ich nie potrzebuje, w zaślepieniu, wyrzeka się kultury duchowej, jedynej wartości, jaką Polska mogłaby dać Europie, chcąc zasłużyć na prawo czerpania zzewnątrz soków żywotnych — — Hańbą jest czerpać wciąż nieprawnie, pasożytniczo! Żaden naród wolny nie ośmieliłby się lekceważyć praw solidarności we wzajemnej wymianie i wspólnej pracy na wszystkich polach działania — pod grozą utraty wolności... Żaden naród wolny nie wyrzeka się życia duchowego, choć ma wszystkie drogi dla realizowania swej energji otwarte, bo kultura duchowa więcej, być może, o wolności i bycie narodu stanowi, niż zbrojenia, samorządy i bogactwa krajowe! Polska zaś dobrowolnie, samobójczo zamyka sama sobie jedyną drogę otwartą...

Istnienie niezależnej placówki artystycznej w tych właśnie tragicznie smutnych warunkach, należy bez wątpienia do najdonioślejszych spraw kulturalnych, jako drogowskaz ku duchowemu współżyciu ze światem cywilizowanym, dla którego dotąd jeno barbarzyńskim zaściankiem jest kraj o kulturze pasożytniczo-biernej.

Są kategorje usiłowań indywidualnych — wrogich dobru społecznemu. I są inne — niosące społeczeństwu dar lepszej przyszłości. Gdy przed szkodliwością pierwszych ogół się broni — i słusznie, to znów samorzutnych darów inicjatywy indywidualnej społeczeństwo nie ma prawa niszczyć obojętnością, marnotrawić. Odpowiedzialność za tolerowanie złych a niszczenie dobrych usiłowań indywidualnych spada plamą krwawych win na społeczeństwo.

* * *

Z MUZYKI.

KONCERTY POLSKIE W WIEDNIU I LIPSKU.

Tryumfy współczesnej twórczości polskiej poza granicami kraju może przyczynią się do kultu dla Sztuki u nas, do podniesienia obojętnych oczu na słoneczne, radosne kwiaty życia zakwitające w Polsce — mimo wszystko! Twórczość

Karola Szymanowskiego, trzeba to stwierdzić ze zdumieniem, jest bardziej znana i czczona na Zachodzie niż u nas... Oto kilka głosów prasy wiedeńskiej i lipskiej o „koncertach polskich" bieżącego sezonu, które przytaczamy za „Kurjerem Warszawskim" z dnia 6 lutego r. b.

„Koncerty polskie Karola Szymanowskiego, Grzegorza Fitelberga i Artura Rubinsteina nie przestają być wypadkami dnia we wszystkich ogniskach muzycznych w Europie. Prasa wiedeńska w słowach najwyższego uznania pisze o zjawiskowym talencie Karola S z y m a n o w s k i e g o. Wiener Journal mówi: „nazwano go C h o p i n-r e d i v i v u s. Jest nim on w istocie."

O dyrektorze Fitelbergu wyraża się ogół prasy z niezwykłem uznaniem, a Fremdenblatt nazywa go gienjalnym dyrygentem. Świetny kapelmistrz stał się ulubieńcem Wiednia, a prasa zaznacza, że należałoby koniecznie zatrzymać go na stałe, gdyż ma niewielu rywali równych sobie.

Niemniej gorąco odzywa się krytyka o fenomenalnej grze Artura Rubinsteina. Wykonane przez niego Sonaty A-dur (op. 21) Szymanowskiego „Fremdenblatt", nazywa szczytem mistrzowstwa gry fortepianowej.

Koncert w Lipsku miał wynik znakomity. Publiczność przyjmowała naszych artystów gorąco, a krytyka poświęca obszerne uwagi twórczości muzycznej „Młodej Polski".

W niezwykle pochlebnych słowach słynny krytyk Niemann wyraża się o nadzwyczajnym kolorycie, niezwykłej powadze i nastrojowości, bijących z dzieł młodego kompozytora Karola Szymanowskiego, kończy zaś temi słowy: „Polska stoi na wysokości współczesnej kultury muzycznej; Polska ma swego Regera".

Koncert polski w Lipsku dowiódł raz jeszcze, na jakim poziomie stoi nasza współczesna kultura muzyczna."

* * *

Z TEATRU.

(H.J.) Cyganerja Warszawska" p. Nowaczyńskiego była atrakcją dla W a r s z a w y. Może po raz pierwszy w dziejach naszej Sztuki ktoś tak nisko pochylił się przed bożyszczem tłumu: Banalnością... tak bluźnierczo zamyślił odbóstwić święte imiona (Chopina, Norwida)... tak poniżył najwyższą

ideę ludzkości: Sztukę... Prąd suggestywnej woli autora biegł przez audytorjum — (o, Warszawo!) — tak łatwo tym razem zahypnotyzowane, tak spontanicznie, tak śpiesznie... Jakieś ogólne nieporozumienie oplotło i autora, który już nie wie, gdzie się kończy ironja i żart a zaczyna głębsze znaczenie; — i publiczność, która zdaje się wogóle nic nie wie i wiedzieć nie chce, rada z circenses.

Błędem, zwłaszcza w stosunku do równoległego braku kultury materjalnej i duchowej u nas, jest apostolstwo na rzecz siły ekonomicznej kosztem siły duchowej, kosztem twórczości. Równoległy brak — równoległym wysiłkiem należy wypełniać, o podniesienie kultury materjalnej i duchowej wołać głosem ludzi czynu, proroków, bohaterów!... Kto chce jąć w ręce bicz satyry i stanąć w rzędzie apostołów kultury, to mu nie wolno tym biczem chłostać na wszystkie strony, z zamkniętemi oczami; a p. Nowaczyński w jednym wierszu z kultury kpi, w następnym — kulturę apostołuje. Kiedy galerja oklaskuje p. Nowaczyńskiego, że niewybrednemi środkami poniża (w oczach tłumu!) ideę sztuki a schlebia „entuzjazmowi“ dorobkiewiczów — niewdzięczny apostoł rzuca publiczności polskiej, która jego „czystą“ (?) sztuką jest oczarowana — taką... perłę.

„Często wychodzi na jaw na kształt z worka szydła
„Fakt, że w czystości ciał lackich są luki;
„O niezbędności wody niezbędnie nauki
„Dawać. Pereł nie rzucać dla bydła
„Naród, co jeszcze najmniej konsumuje mydła
„Niechżeż nie produkuje zbytku czystej sztuki.

(Meandry).

O „Cyganerji Warszawskiej“ pisze między innemi następujące uwagi „Krytyka“ (r. 1911, str. 220—2).

„Większa część osób tej sztuki to postacie historyczne: bohater Kamil — Cyprjan Norwid, Lesław — Zmorski, Gorgonjusz — Dziekoński, etc... Krwią tylko się godzi pisać o tej garstce zapaleńców, będącej naturami nawskroś tragicznemi. P. Nowaczyński zrobił z nich bombę komedjową... Bez uczciwego stosunku do życia i sztuki dzieła artyzmu stworzyć nie można.“

* * *

ZE SZTUK PLASTYCZNYCH.

NOWE MUZEUM WE LWOWIE.

W pałacu Dzieduszyckich przy ul. Kurkowej Nr. 15 we Lwowie otwarto galerję obrazów dawnych mistrzów. Jest to pokaźna kolekcja, przeszło 400 sztuk, po Ignacym hr. Miączyńskim, zmarłym w Wiedniu 1809 roku, prezesie Stanów Galic., pośle do Napoleona I, kawalerze orderu Orła Białego, francuskiej Legji honorowej i t. d. i t. d.
Galerja posiada arcydzieła szkół niderlandzkich, weneckiej, genueńskiej, bolońskiej, francuskiej, hiszpańsko-neapolitańskiej, oryginały lub repliki Rubensa, Van Dyck'a, Jordaensa, D. Halsa, Guido-Reniego. Najlepiej, z wielkiem znawstwem historycznem, a nawet z widocznym celem dydaktycznym są zebrane dzieła malarstwa niemieckiego, a głównie szkoły wiedeńskiej 18-go wieku. Począwszy bowiem od pięknego obrazu Madonny z dzieckiem z 16-go wieku aż do początków wieku 19-go, nie brak tam dzieła żadnego z wybitniejszych malarzy niemieckich, lub przynajmniej z ich pracowni. Cenny zbiór zamyka niejako przepiękny portret dawnego właściciela, pradziada Włodzimierzowej hr. Dzieduszyckiej, Ignacego hr. Miączyńskiego, malowany w roku zagadkowej jego śmierci razem z Ignacym Potockim (1809), przez najwybitniejszego, ówczesnego portrecistę wied. dworu i najwyższej arystokracji, Henryka Fryderyka Fügera.
Cały zbiór obrazów mieścił się pierwotnie w dziedzicznej posiadłości hr. Miączyńskich i hr. Bielskich, w Pieniakach, obok Brodów. Stamtąd przewieziono go do Krakowa i umieszczono jako depozyt w Akademji Umiejętności, później do Lwowa i złożono prowizorycznie w odrębnym składzie w dawnym pałacu Dzieduszyckich. Przed niedawnym dopiero czasem zajął się nim był Wojciech hr. Dzieduszycki, tudzież zwrócił na kolekcję uwagę prof. Jan Bołoz-Antoniewicz. Z inicjatywy ich obu postanowiła znana ze szczodrobliwości i hojności na celepubliczne i kulturalne, pani Alfonsyna Włodzimierzowa Dzieduszycka utworzyć ze zbioru odrębną galerję obrazów. W tym celu poleciła dobudować nad swym pałacem drugie piętro, gdzie znalazła pomieszczenie cała galerja.
W wygodnych szafach i ogromnych pudłach mieści się bogaty zbiór sztychów, (przeważnie portrety królów i wybitnych osobistości polskich), oraz ręczne rysunki prawie wszystkich naszych malarzy z 19-go wieku. Są tam nadzwyczaj cenne rzadkości Norwida, Matejki, J. Kossaka, Michałowskie-

go, Kielesińskiego, obu Tepów i wielu innych dawniejszych, dziś już całkowicie zapomnianych i nieznanych rytowników, rysowników i malarzy polskich.

Ponadto z powszechnie znanej t. zw. „Biblioteki Poturzyckiej“ hr. Dzieduszyckich wydzielono do galerji wiele mających ze sztuką łączność dzieł polskich, francuskich, angielskich i niemieckich, wśród których znajdują się cenne unikaty. — („Nowa Gazeta“).

KONKURS RZEŹBIARSKI.

Dyrekcja Tow. przyjaciół sztuk pięknych w Krakowie rozpisała imieniem fundatora, który pragnie by nazwisko jego nie zostało wyjawione, konkurs dla artystów samodzielnych, początkujących, polskiej narodowości, wyznania chrześcjańskiego, pracujących w kraju, celem dokończenia studjów zagranicą i przeznacza na ten cel nagrodę 2,000 koron za kompozycję rzeźbiarską na temat dowolny. Rzeźba winna być wykończoną, traktowanie szkicowe rzeźby nie nadaje się do nagrody (!)

Ostateczny termin nadsyłania prac konkursowych upływa z dniem 25 stycznia r. 1913.

* * *

WYDAWNICTWA NADESŁANE DO REDAKCJI.

Wydawnictwa Gebethnera i Wolffa w Warszawie:

Stanisław Przybyszewski. „ZMIERZCH“. „Synów ziemi“ część trzecia i ostatnia. 1911.

Stefan Żeromski. „ARYMAN MŚCI SIĘ. GODZINA“. Wydanie drugie. 1912.

Adolf Nowaczyński. „CYGANERJA WARSZAWSKA“. Sztuka w czterech aktach. 1912.

Wydawnictwo Jakóba Mortkowicza. (Pod znakiem poetów):

A. Szczęsny. „TO CO SIĘ STAŁO“. Warszawa. 1912.

Wydawnictwo J. M. Muszkowskiego.

Zygmunt Kisielewski. „WĘDROWIEC“. Warszawa. 1912.

Biblioteka Estetyczna Serja I tom I.

Ada Werner-Silberstein. Dr. fil. „WSTĘP DO ESTETYKI NOWOCZESNEJ“. Część I. Z zapomogi Kasy imienia Józefa Mianowskiego. Warszawa 1911.

Edmund Rappaport. ŚWIT. 1911.
Jerzy Waldemar Jarociński. OTĘCZ. Okładka pomysłu Władysława Krassowskiego.
Jerzy Guranowski. POEZJE. Warszawa 1912.
Feliks Starczewski. 1) Z MUZYKI. Luźne uwagi i notatki. 2) REFLEKSJE muzyczne. 3) PROGRAM porównawczy różnych szkół muzycznych. 4) SCOLA CANTORUM.

KATALOG Nr. 10 Antykwaryatu polskiego Hieronima Wildera w Warszawie „Sztuka" — (część druga). Portrety Widoki. Książki.

KRAKOWSKI MIESIĘCZNIK ARTYSTYCZNY. Red. dr. St. Goliński. Osobny dział: „Sztuki Plastyczne". Współredaktorzy i wydawcy: Leonard Lepszy i Feliks Kopera.

NAS SMER. Revue pro umel. Vychovu, kresleni a umelecky prumysl. („Nasz kierunek" — redaktor Prof. Jos. Vydra — w Bernie morawskim).

REPERTOIRE D' ART ET D'ARCHEOLOGIE. Secrétaire: Marcel Aubert. Paris 19, rue Spontini.

* * *

ROZSTRZYGNIĘCIE KONKURSU „SZTUKI" NA WINIETĘ REKLAMOWĄ.

Dział reklam artystycznych traktujemy w „Sztuce" jako odrębną gałąź sztuki stosowanej.

W Warszawie ogłoszenia rzadko drukowane są poprawnie pod względem grafiki, t. j. układu czcionek, odpowiedniej ramki i t. p.; niemniej rzadko spotkać można pomysłowe a estetyczne rysunki stosowane do warunków reklamy. Stworzenie stylu ogłoszeń tekstowych ma duże znacze- przedewszytkiem dla wydawnictw perjodycznych, które służąc z obustronną korzyścią pośrednictwem między kupcem a czytającą publicznością, obecnie zaśmiecają swe najwidoczniejsze stronice szpetnemi plamami, odpychającemi raczej od siebie wzrok czytelnika miast go ku sobie przyciągać.

Ztąd wynika, że reforma co do stylu ogłoszeń jest niemniej ważna dla handlu i przemysłu. Wiadomo czem jest reklama dla każdego przedsiębiorstwa handlowego, lecz wartość mają tylko ogłoszenia widoczne, zwracające na siebie

uwagę piękną winietą, oryginalnym i artystycznym układem liter, wogóle poprawne pod względem graficznym, stylowe. Rozwój sztuki stosowanej w tym kierunku ważny jest wreszcie i dla artystów-malarzy, którzy mogą znaleźć tu nowy rynek zbytu dla swych prac graficznych.

Redakcja „Sztuki" chętnie przeto zgodziła się na propozycję p. Gustawa Zmigrydera, który, potrzebując nowej winiety reklamowej dla swego Magazynu konfekcji damskiej, przeznaczył rubli 50 nagrody na ogłoszenie konkursu za naszem pośrednictwem.

Warunki konkursu zamieściliśmy w tomie I „Sztuki" (str. 166). Sąd konkursowy, złożony z pp. red. Henryka Juszkiewicza, prof. Szkoły Sztuk Pięknych Edwarda Trojanowskiego oraz p. Gustawa Zmigrydera, z pośród nadesłanych prac wybrał dwie, przyznając każdej rubli 25 nagrody. Autorem pierwszej (godło „Rak") okazał się p. Józef T o m, wychowaniec berlińskiej Kunstgewerbeschule, drugiej zaś (godło Róża) p. Janina B o b i ń s k a-B r z e z i ń s k a. Nagrodzone rysunki reprodukujemy w dziale Reklam Artystycznych niniejszego tomu (str. 186).

* * *

OD REDAKCJI.

Tom II wydany został pod wyłącznym kierunkiem literackim i artystycznym red. Henryka Juszkiewicza, po rozwiązaniu komitetu redakcyjnego, pod kierunkiem którego wyszły zeszyty I-II-III (tom I — 1911 r.)

Przedpłatę na tom III (rubli 3 z przesyłką) przyjmuje administracja pisma oraz wszystkie księgarnie.

Adres redakcji i Administracji: Warszawa, Marszałkowska 139, Księgarnia Powszechna.

Godziny przyjęć od 4 do 6 po poł. w poniedziałki i czwartki.

Redaktor-Wydawca HENRYK JUSZKIEWICZ.



WITRAŻ J. REMBOWSKI



IZBA ZAKOPIAŃSKA W. BRZEGA



CZYTELNIA K. FRYCZ

REKLAMY ARTYSTYCZNE

SZTUKA W PRZEMYŚLE





KONKURS NA WINIETĘ. NAGRODA I — Godło „Rak". JÓZEF TOM



KONKURS NA WINIETĘ. NAGRODA I — Godło „Róża" J. BOBIŃSKA-BRZEZIŃSKA

„SZTUKA“ przyjmuje OGŁOSZENIA ILUSTROWANE do 2 działów:

1) „Reklamy Artystyczne". Firmy handlowe za pośrednictwem administracji „Sztuki“ zamawiać mogą winiety i rysunki lub nadsyłać własne, przez artystów malarzy wykonane, afisze, reprodukcje z szyldów artystycznych, wystaw sklepowych i t. d.

2) „Sztuka w przemyśle“. Umieszczane są w dziale tym zdjęcia fotograficzne przedmiotów artystycznych z zakresu meblarstwa, jubilerstwa i sztuki stosowanej wogóle.

WARUNKI OGŁOSZEŃ:

	JEDNORAZOWO	PIĘCIOKROTNIE
1 strona niniejszego formatu	50 rubli	200 rubli
½ " " "	30 "	120 "
¼ " " "	20 "	80 "

UWAGA. Przy deklaracji rocznej koszt rysunków, klisz i zdjęć fotograficznych obowiązuje administrację „Sztuki“. Nadesłane winiety, afisze i t. p. przyjmowane są po zakwalifikowaniu ich przez kierownika artystycznego „Sztuki“. Przy ogłoszeniu jednorazowem, koszta winiety i kliszy (w wysokości od 10 do 20 rubli) ponosi firma, która w następstwie wykonane dla niej rysunki może na warunkach przystępnych nabywać za pośrednictwem administracji pisma na wyłączną własność.

SZTUKA PISMO ILUSTROWANE POŚWIĘCONE LITERATURZE, TEATROWI, MUZYCE, MALARSTWU I RZEŹBIE, ARCHITEKTURZE I SZTUCE STOSOWANEJ.

TREŚĆ TOMU II (ZESZYTY IV-V-VI):

TOMY I i II (ZESZYTY I-II-III-IV-V-VI) ZAWIERAJĄ PRACE:
K. D. Balmonta, Ch. Baudelaire'a, Boticellego, W. Brzegi, M. Denis'a, X. Dunikowskiego, Z. Eichlera, K. Frycza, P. Gauguin'a, W. Gordona, Art. Górskiego, A. Gravier'a, H. Grombeckiego, Z. Z. Idzikowskiego, Joannes-Ahasverus'a, H. Juszkiewicza, Z. Kamińskiego, J. Kasprowicza, J. Lemańskiego, B. Leśmiana, T. Micińskiego, E. Morawskiego, T. Nalepińskiego J. Nawroczyńskiego, H. Opieńskiego, P. Puvis de Chavannes'a, E. A. Poe'go, T. Pruszkowskiego, J. Rembowskiego, J. A. Rimbaud'a, J. Rundbakena, F. Siedleckiego, O. Sosnowskiego, F. Starczewskiego, A. Szczęsnego, K. Szymanowskiego, E. Trojanowskiego, H. Uziembły, V. Van-Gogh'a, E. Verhaeren'a, P. Verlaine'a, A. Zawadzkiej.

CENA TOMU I i II razem rubli 6. PRZEDPŁATA NA TOM III—rubli 3.

Adres Redakcji i Administracji: WARSZAWA, MARSZAŁKOWSKA 139, KSIĘGARNIA POWSZECHNA, telefon 45-02.

Redaktor-Wydawca HENRYK JUSZKIEWICZ.

DO NABYCIA WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH
WYDAWNICTWA REDAKCJI SZTVKI

SZTVKA TOM I. (ZESZ. I-II-III) — — CENA RB. 3.
„ „ TOM II. (ZESZ. IV-V-VI) — — CENA RB. 3.

POEZJE ZYGMVNTA ZENONA IDZIKOWSKIEGO (WYDANIE WYTWORNE, Z PODOBIZNĄ POETY, PRZEDMOWĄ HENRYKA JVSZKIEWICZA, WINIETAMI FRANCISZKA SIEDLECKIEGO I EDWARDA TROJANOWSKIEGO, ORAZ KOMPOZYCJĄ MVZYCZNĄ FELIKSA STARCZEWSKIEGO) — — — CENA RB. 2.

ADRES ADMINISTRACJI: WARSZAWA, MARSZAŁKOWSKA 139, KSIĘGARNIA POWSZECHNA.

WYTŁOCZONO W WARSZAWIE W DRVKARNI
KSAWEREGO TRĘBIŃSKIEGO.